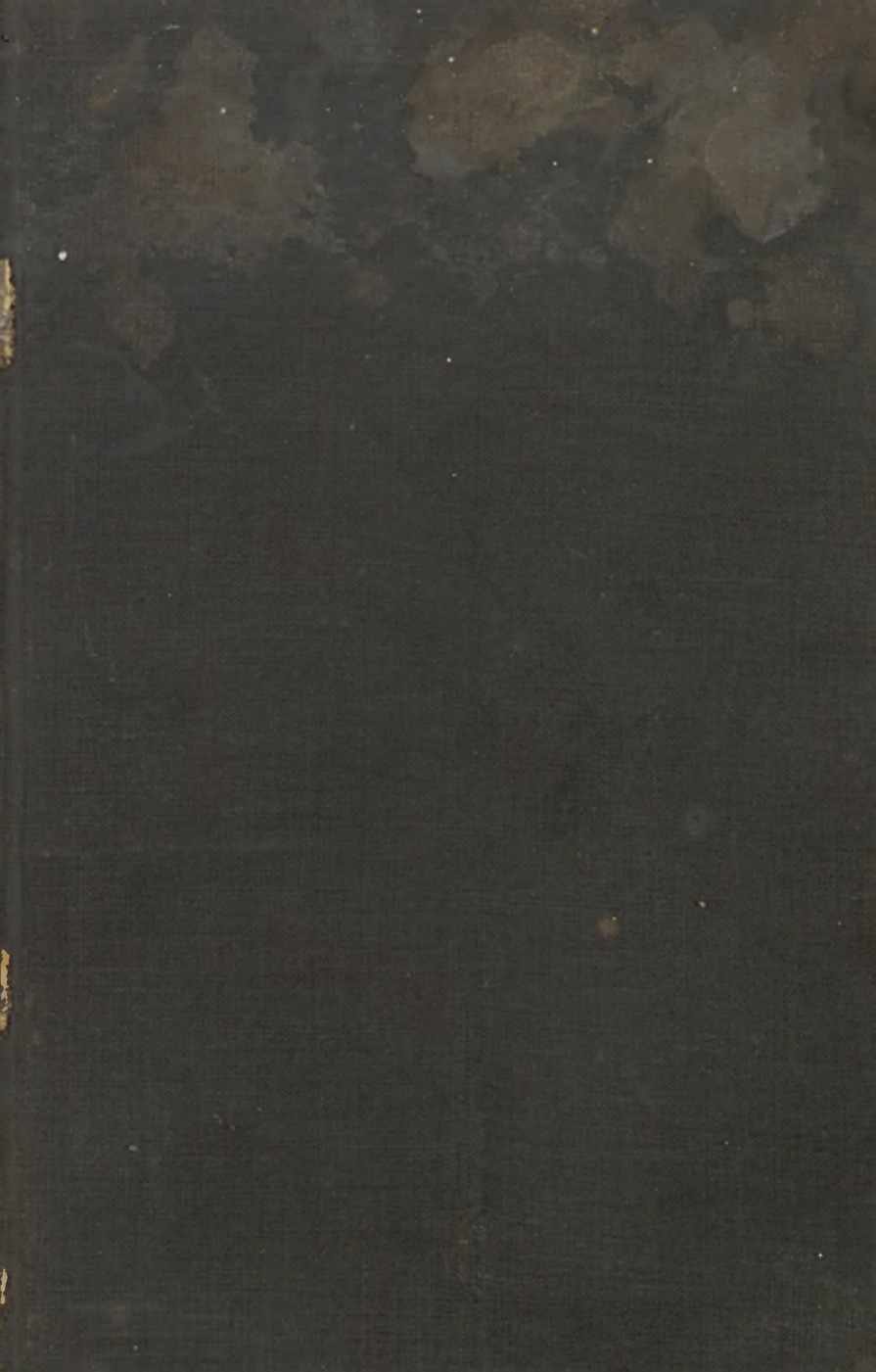




RAMOTY I RAMOTKI.

Ramoty i Ramotki

Augusta Wilkońskiego.

Wydanie nowe i zupełne.

Z zyciorysem autora

przez

K. Wł. Wojcickiego.

Z popiersiem autora.

Tom II.

Feliks Kwir
Warszawa.

Poznań,
nakładem i czcionkami Ludwika Merzbacha.
1862.



58612

884-1/-9 (081) Hellwinsky

Wolno drukować z warunkiem złożenia w Komitecie
Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby
egzemplarzy.

W Warszawie dnia 2 (14) marca 1857 r.

Cenzor, Radzca Dworu *Stanisławski*.

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 58612



BGZs 58612

W uśmiechu każdym zaparłem siebie.
Zaparłem gorycz, com ją wciąż pił,
— Raz tylko jeden na mojem niebie
Promyk radości jasno się lśnił.

OSOBY

EMANCYPACYA SABINY

ZE STANOWISKA

ABSOLUTNEGO.

KOMEDYA w 2ch AKTACH.

OSOBY.

SPIRYDYON PAPROĆ RAZINOSKI, dziedzic dóbr ziemskich i sędzia pokoju.

RAZINOSKA, sędzina, żona uprawiająca filozofią.

SABINA, dziewica 17tój wiosny.

HORCIA, dziewczątko w 9 roczku } córeczki państwa Razinoskich.

RUBLEWICZ, spekulant warszawski.

RUBLEWICZOWA, żona.

BEAŻÉJ, syn Rublewiczów.

PANTALEON hrabia MAJONEZ.

Dr. FIGUŁA, lekarz domowy Razinoskich i Rublewiczów.

REJENT.

PIÓRCZYŃSKI, sekretarz Razinoskiego.

JANKIEL, dzierżawca mleka i faktor dóbr pana Razinoskiego.

SZARACZKOWSKA, matka pani Rublewiczowej.

KUNEGUNDA, }

PETRONELA, } córki pani Rublewiczowej, będące na wychowaniu u babki.

URSZULA, }

FRUZIA, panna garderobna pani Razinoskiej

JAN, lokaj pana Razinoskiego.

MACIEJ, stróż z kamienicy Rublewiczów.

Rozmaita służba państwa Razinoskich.

Rzecz dzieje się w pomieszkaniu państwa Razinoskich, a częścią także w pomieszkaniu państwa Rublewiczów w Warszawie.

AKT I.

SCENA PIERWSZA.

(Teatr wyraża pokój bawialny; na fortepianie i na mahoniowych stolikach porozrzucone papiery, książki i kapelusze damskie; nieład widoczny).

PIÓRCZYŃSKI I FRUZIA.

PIÓRCZYŃSKI.

Kochana Fruziu, czybys ty ze mną nie mogła dzisiaj pójść na piwo bawarskie, będzie muzyka i iluminacya.

FRUZIA.

Jeszcze tego potrzeba, abym się z tobą po szynkowniach włóczyła.

PIÓRCZYŃSKI (zamyka jęj usta.)

Dziewico nie bluźnij!... piwo bawarskie nie jest bynajmniej szynkownią; jest to zgromadze-

nie artystów całego miasta, którzy, gasząc niewinne pragnienie, budzą w sobie zapał i twórczość.

FRUZIA.

Raczej powiedz, jest to zgraja piwoszów i próżniaków.

PIÓRCZYŃSKI.

Fruziu! milcz! bo nie pojmujesz, jak znakomite osoby obrażasz; wiedzieć ci należy, że pan Błażej Rublewicz także na bawarskie piwo uczęszcza.

FRUZIA.

Piękniesz się wygadał — to ztamtąd wasza znajomość, dla tego ujmujesz się za panem Rublewiczem, a zbierasz nowinki przeciwko panu hrabiemu; — możesz ty nawet namówił swojego kolegę bawarskiego, aby się starał o naszą pannę Sabinę; — ale, panie Piórczyński, szkoda tego piwa, którym cię Rublewicz częstował, bo mnie, (patetycznie) Eufrozynie Dzióbińskiej, pierwój włosy na dłoni wyrosną, aniżeli Rublewicz będzie mężem panny sędzianki.

PIÓRCZYŃSKI.

Ja z mojej strony tyle ci tylko powiadam, że jestem przyjacielem pana Rublewicza i mam przez niego przyrzeczone 6,000 zł. na posag, kiedy od pana Majoneza najwięcej jeżeli stary rajtrok dostać-bym mógł.

FRUZIA.

To pan Rublewicz rublami drogę sobie ułatwia!

PIÓRCZYŃSKI.

Tak, rublami — a nie umizgami, i rozumiem, że dla nas lepszym jest pan Rublewicz aniżeli pan Majonez; za umizgi pana hrabiego wacpanna i łokcia merynosu na wyprawę dla siebie nie kupisz; za ruble pana Rublewicza żona Piórczyńskiego urządzi sobie gospodarstwo i wysługiwać się nie będzie.

FRUZIA.

Wolę stokroć razy służyć aniżeli sprzedawać ludzi a zwłaszcza pannę Sabinę, z którą się razem wychowałam, która jest dla mnie tyle dobrą, która serce swoje oddała panu Pantaleonowi Majonez, paniczowi chociaż ubogiemu ale ładnemu i umięjącemu być dla mnie grzecznym; nie tak, jak pan Błażej, co mi się nawet ani razu nie uklonił.

PIÓRCZYŃSKI.

Duby, smalone duby, moja panno Eufrozyno; — dla tego, że się pan hrabia Majonez kłania i umizga, — odrzucać 6,000 złp.! — dla tego, że pan Majonez jest ładny i greczny, przeszkadzać pannie Sabinie do najlepszej partyi w całej Warszawie. A wie też panna Dzióbińska, że nasz pan sędzia ma więcej długów niż

włosów na głowie, że j. w. pan sędzia potrzebuje koniecznie bogatego zięcia, bo on, prócz błogosławieństwa i tytułu sędzianki, nic, ale to co się nazywa nic, córce swojej dać nie może. Procenta od sum hipotecznych nie zapłacone od lat 4ch; towarzystwu kredytowemu należy się druga rata; podatki skarbowe, dziesięcina, zasługi służącym zalegają; i do tego tutejsi procentowiczowie szczywają go po sądach jak lisa po kniei; kupiec już żaden i funta kawy na kredyt dać nie chce; niektórzy z nich także pozwy przysłali i nie za długo przyjdzie komornik, zabierze te wszystkie mahoniowe stoliki, fortepiany, złocene obrazy, powozy, konie; — i na pieszo powędrujemy wszyscy razem do Topolina, żywić się trawą z klombów angielskiego ogrodu, bo w polu nie było czém zasiać; i pytam się, co nam wówczas pomoże pan Majonez, chyba po drodze będzie grał na gitarze, śpiewając arya z wielkiej opery *Golec*; — albo będzie deklamował najczulsze ustępy z tragedyi *Chudoba*, *Bięda* i *Nędza*.

FRUZIA.

Ale powiedz mi, panie Piórczyński, przecież nasi państwo dają bale, żyją na wielkim świecie, zajmują tak drogie pomieszkanie.

PIÓRCZYŃSKI.

To wszystko dowodzi, że pan Razinoski bankrut, bo cała wystawność jest na zamydlenie

oczów wierzycieli; — waćpanna nie wiesz o tém, że często taki panicz, który się rozwala w koczach i na ulicy ludzi roztrąca, grosza nie ma w kieszeni. Jeżeli nasi państwo nie wydadzą córki za Rublewicza, w kilka miesięcy nie będzie za co i 3ch funtów wołowiny kupić.

FRUZIA.

Pan Piórczyński zawsze wszystko liczy na funty, zawsze się tylko o wołowinę i o pieniądze troszczy, a serce, uczucie, za nic nie ma. — Ja się tam zaś u naszych państwa biędy nie lękam; nasza pani ma odebrać sukcesyą po wuju, księdzu biskupie; pan hrabia Majonez dostanie wielki urząd, pan sędzia kupił książki do gospodarstwa, więc i w Topolinie będzie więcej zboża i obejdziemy się bez pana Rublewicza.

PIÓRCZYŃSKI.

A my?...

FRUZIA.

Możemy pracować, pan Bóg nam dopomoże; a te wszystkie lekkie zarobki, opierające się na frymarczeniu szczęściem ludzkim, nigdy na dobre nie wyjdą.

PIÓRCZYŃSKI.

Tymczasem ja będę moje robił.

FRUZIA.

A ja moje, i zobaczymy, kto zwycięży.

SCENA DRUGA.

Ciż sami i SĘDZINA RAZINOSKA.

SĘDZINA do PIÓRCZYŃSKIEGO.

Dobrze, że cię tutaj zastaję; powiedz mi, przeczytałeś to nowe dzieło o płodozmiennych zasiewach? — proszę cię, zrób krótki wyciąg, bo sędzia czytać nie lubi; a należałoby podług najnowszej metody gospodarstwo w Topolinie urządzić. — Interesa nasze *podobno* wymagają polepszenia, nie źleby było zwiększyć dochody, iść z postępem czasu, wprowadzić abstrakcyjne działanie na przedmiotowość naszych wypadków i z bezwzględnego stanowiska opłacić długi, ulepszyć stan włościan, zapewnić sobie spokojniejszą przyszłość (*postępując ku widzom*), aby można bez przeszkód natrętnych wierzycieli zgłębić krainę myśli, zgnieść zapamiętałych stronników berlińskiego mistrza, system mój uświęcić, nadać inny kierunek wychowaniu kobiet, — zniewolić mężczyzn do uznania wiedzy objawionej, ugiąć ich harde umysły pod nasze stopy, — wywalczyć naszą emancypacyą, przez to uratować jedną połowę rodu ludzkiego, nawrócić drugą, postawić imię moje na szczycie filozofii, okryć się niepożytą sławą, otoczyć się blaskiem prorokini nieskończonej zgody materji ciała z materją ducha!

(Podczas tej patetycznej i w zapale odręcytowanej mowy Piórczyński zryma ramionami, Fruzia puka palcem po czole i odchodzi.)

(Sędzina obracając się do Piórczyńskiego.)

Jakaż więc waćpan czynisz dla nas nadzieję z tych dzieł agronomicznych?

PIÓRCZYŃSKI.

Jaśnie wielmożna pani, gdyby były pieniądze na zaprowadzenie wskazanej odmiany, porządku, gdybyście j. w. państwo na wieś wrócić raczyli, gdyby się wydatki w Warszawie czynione obróciły na zakupienie żywego inwentarza, maszyn, narzędzi rolniczych, Topolin przyniosłby rocznie do 60,000 złp.

SĘDZINA.

A nie możnaby takiego samego rezultatu sprowadzić przez objaśnienie włościan o powinnościach względem ich pana, o uległości ducha, o pracy, o moralności; — ja napiszę w tym przedmiocie książkę, każę wydrukować i rozdamy pomiędzy chłopów.

PIÓRCZYŃSKI.

Ale oni czytać nie umieją!

SĘDZINA.

To nic nie szkodzi; — ja im sama, mąż mój, dzieci nasze, czytywać możemy, a i waćpan wolne chwile poświęcisz dobru ludzkości!

PIÓRCZYŃSKI.

Przepraszam j. w. panią, ale mnie się zdaje, że chłopom nie należałoby czytywać książek;

jakby oni poczęli myśleć i rozważać, gotowiby dwojgiem i trojgiem we żniwa na pańszczyznę nie wychodzić, gotowiby postarać się o zniesienie darmochów, które w Topolinie 3000 dni przez rok czynią.

SĘDZINA.

Waćpan mnie nie pojmujesz; myśl moja na inną jest drodze; np. w ościenną nam prowincyi przez myśl przyszli do tego, że z kartofli robią aksamit.

PIÓRCZYŃSKI.

Być może; mamy z kartofli mąkę, okowitę, świecę, niechajby był i aksamit; — ale z myśli Maćka, Walka, Bartosza wypędzić stado żywych owiec, stworzyć woły i konie, — na czém nam właśnie zbywa — j. w. pani, to chyba się nie uda.

SĘDZINA.

Waćpan jesteś materyalnym i nie uchwyciłeś jeszcze idei 19 stulecia, że myśl i rzeczywistość stanowią jedność w obszarach wiedzy. Później to waćpanu wyłożę najzrozumiałej, dzisiaj jestem zajęta odczytaniem krytyki na mój system, skłaniający wiedzę pod objawienie. Uwalniam waćpana.

(Piórczyński się kłania i odchodzi.)

SCENA TRZECIA.

SĘDZINA (zasiada w krześle, bierze do ręki pisma peryodyczne i czyta.)

„Dzieło pani Razinoskiej przepełnione jest tak bardzo rażącemi i sprzecznemi pomiędzy sobą niedorzecznościami, że od wszelkich rozbiórów wolném-by być winno, albowiem o ile czynić definicyą głupstwa, o tyle przypuszczać głupstwo w szranki rozumnych rozpraw, zaszczycać je krytyką, — jest marnotrawieniem czasu i atlasu. — Gdy jednakże kwiecistością stylu pani Razinoska w błąd swój mogłaby wprowadzić młodociane łatwowiernych umysły, nie dla mężczyzn więc, ale wyłącznie dla płci słabiej czynimy tę usługę, że arabskie brednie pani Razinoskiej po szczególe rozbierzemy.“

(Podnosi ręce i oczy do góry.)

SCENA CZWARTA.

SĘDZINA i HORCIA.

(8letnia Horcia w biegu ubrudzona, osmolona, w podartych pończoszках, — i straszliwie płacze.)

HORCIA.

Mamo! mamó, już dwunasta wybiła, a mnie jeszcze śniadania nie dano, brzusek mnie boli, nie w ustach nie miałam, a Fruzia jeszcze i pończoszek świeżych dać mi nie chce, powiada, że ja nie mam lepszych pończoszek.

(Pokazuje dziury na pięcie.)

[SĘDZINA.

Ach! mon dieu! przed temi dziećmi... zaraz Horciu,... „arabskie brednie!“ to nie do zniesienia, — brednie! arabskie brednie! — ale kwiecistego stylu nie mógł mi odmówić. Cóż pisze o moim systemie. (czyta) „Bezwzględne stanowisko“...

HORCIA (ciągnie matkę za suknię i wrzeszczy).

Mamo! jeść!...

SĘDZINA.

Ja zwaryuję! oto masz śniadanie (uderza ją w ramię). Twoją powinnością walczyć z przeciwnościami życia, znosić cierpliwie dolegliwości tak fizyczne jak i moralne. Niedołężne dziecko! nie pojmujesz, ile ja w tę chwilę goryczy doznaję!... a ty, nieczuła córko, o śniadanie się dopominasz!

HORCIA (jeszcze głośniej płacze; tupa nóżkami i woła):

Jeść! jeść!

SĘDZINA

(chwytając się za głowę, czytając biegnie do stolika, chce schwycić za dzwonek, wywraca i tłucze lampę.)

SCENA PIĄTA.

Ciż sami i SĘDZIA i FRUZIA.

(Drzwiemi z prawej strony wpada Fruzia, z lewej strony Sędzia w aszafroku surdutowym.)

SĘDZIA.

Jak honor piastuję! nie jestem w stanie gazety przeczytać. Cóż to za wrzask?!... właśnie ścigałem z lekką jazdą uciekającego Ab-del-Kadera, zdobyliśmy jego wielbłądy, amunicję, żywność, — gdy w téj chwili córka moja z płaczem woła! „jeść!“ Przez Boga! przecież dzieci Spiridyona Paproć Razinoskiego, dziedzica dóbr Topolina, sędziego pokoju w powiecie, kawalera, na głód się skarżyć nie powinny!

SĘDZINA.

Fruziu! dla czegoż ona (wskazuje na córkę) nie jadła? oddałem ci ją pod wyłączną opiekę, powinnaś o niej pamiętać.

SĘDZIA.

Dziecko nie umyte, nie uczesane, w podartych trzewikach, w dziurawych pończoszkach!

SĘDZINA.

Tak, prawda! winna Fruzi jest oczywista.

FRUZIA (z hardością).

Ja się na wszystkie strony rozedrzeć nie mogę. — Prasowałam mankietki dla pana sę-

dziego, ubierałam pannę Sabinę, byłam u dentysty po zęby dla j. w. pani.

SEDZINA (na stronie).

Co to za gęba! (*głośno*) Ale mogłaś dla tego dać Horci śniadanie.

FRUZIA.

Ja go nie stworzę; mleczarka na kredyt mleka dawać nie chce, należy jęj się 10 złp., a tamtęj dawniejśzj przeszło trzydzieści.

SEDZINA.

Iżby dziecko umyć, iżby mu świeże dać pończoszki, do tego pieniędzy nie potrzeba.

FRUZIA.

Właśnie że potrzeba, bo te dwie pary, które jw. pan kupił na Zielone Świątki, dawno się podarły, a babka, pani stolnikowa, już nie żyje, aby dla panienek domowe na drutach robiła pończoszki.

SEDZINA.

Mężu! istotnie to twoją jest winą; ja się takimi drobiazgami trudnić nie mogę; wiesz, że ja zajęta nawracaniem umysłów na krzywéj ścieżce będących, walczę z hardym rodem mężczyzn, którzy wyższości kobiecego jenuśzu przyznać się wzbraniają; walczę o swobody połowy rodu ludzkiego, o emancypacyą płci mojęj! Wiesz,

że już obaliłam połączenie wiedzy z rzeczywistością, i jeżeli potrafię odłączyć rozwój podmiotu od zastrzeżu indywidualnego przedmiotu, wyjdę zwyciężko!... Dwie tylko okoliczności stają mi na przeszkodzie: dowiedzenie twierdzenia mojego, że filozofia absolutnego stanowiska nie jest wiedzą, i że byt (*seyn*) i istnienie (*existenz*) są w odwrotnym stosunku z negacyą ducha naszego. Dwoistość harmonii i panteizm moich przeciwników musi się tu jasno, oczywiście wykazać.

(Podczas téj mowy Sędziny Sędzia wiąże Horci fartuszek, poprawia włosów, głaszcze i pieści.)

HORCIA (z objęcia ojca).

Mamo jeść!

SCENA SZÓSTA.

Cią sami i lokaj.

Lokaj JAN.

Pan hrabia Majonez!

SEDZINA.

Proszę, mężu, *votre toilette*, uspokuj Horcię i dopilnuj, aby ją Fruzia ubrała; niechaj do mnie przyjdzie o 1szęj, dam jęj lekcycą absolutnego pojęcia powinności kobiet.

(Sędzia biorąc za rękę Horcię i tuląc ją do łona, razem z Fruzią do pokoju na lewo odchodzą.)

SCENA SIÓDMA.

SĘDZINA i MAJONEZ.

(Majonez w blade - kanarkowym rajtroku; włosy długie w puklach, broda, wąsy, faworyty, tak że twarzy mało widać; pantaliony w czerwoną kratkę bardzo buchaste, wysokie u butów obecasy, uzbrojone w ostrogi, pod pachą chapeau claque, w ręku czworogranne szkiełko na weneckim łańcuszku.)

MAJONEZ.

Madame! *je viens* złożyć moje uszanowanie
et pour vous communiquer des excellentes nouvelles.

SĘDZINA.

Bien obligée, Monsieur Pantaleon — cóż nowego?

MAJONEZ.

Byłem u generałowej na wieczorze, 30 osób *du haut parage* — przez cały czas o niczem nie mówili, tylko o jeności pani sędziny.

SĘDZINA.

Czy być może? generałowa *c'est un ange*, ona mnie zawsze broni.

MAJONEZ.

Nie potrzeba obrony, gdzie nie masz nieprzyjaciela: wszyscy jednogłośnie składali hołd talentom i jeniuszowi pani sędziny.

SĘDZINA.

Byliż i mężczyźni?

MAJONEZ.

Większa połowa, *comme à l'ordinaire*, bo generałowa nie jest przyjaciółką płci swojej — *elle préfère disputer avec les hommes.*

SĘDZINA.

I panowie przyznali mi słusność?!

MAJONEZ.

Jak byliśmy razem, wszyscy, wszyscy zgodziłem się, że pani jesteś pochodnią naszego stulecia.

SĘDZINA.

Pan jesteś uosobioną dobrocią, *la bonté même*; (ze smutkiem) ale patrz, co napisano w Poznaniu!

MAJONEZ (przykłada do oczu podany sobie arkusz).

Madame! *c'est un abominable blasphème* — szorstkość takiego *publicum*, jak jest redakcja tego pisma, nie powinna panią obrażać; — ludzie bez wychowania, niżkiego pochodzenia....

SĘDZINA.

Ale jednakże są to ludzie uczeni, doktorzy filozofii z uniwersytetów niemieckich.

MAJONEZ.

Dla tego właśnie, że zdania te pochodzą z uniwersytetów niemieckich, nie zasługują na uwagę pani sędziny. Ja także byłem na uni-

wersytetach niemieckich i wiem, jak oni wszystko zasadzają na knastrze i na piwie, jak ich całe życie zamknięte jest w brudnych ścianach knajpy burszowskiej.

SĘDZINA (z zadziwieniem).

Pan byłeś na uniwersytecie niemieckim?!

MAJONEZ.

Na trzech, czterech, pięciu! (*na stronie*) wszędzie po kilka godzin w przejeździe do Paryża.

SĘDZINA.

Pan hrabia więc uczęszczał na prelekye filozofii Hegla w Berlinie!?...

MAJONEZ.

Byliśmy z Heglem jak dwaj rodzeni bracia.

SĘDZINA (z zadziwieniem, w którym się szadrość przebija).

Pan się z nim przyjaźnił?

MAJONEZ.

Dopóki się nie przekonałem, że jest złym człowiekiem.

SĘDZINA.

Powiedz raczej, hrabio, panteistą, bluźniercą, antychrystem...

MAJONEZ.

Tak; jednakże ma stronników, którzy jego systemu bronią, twierdząc, że tylko potrzeba założenie i dowody zrozumieć.

SĘDZINA.

Moim uszom nie dowierzam; pan więc przy tak piękném wychowaniu miałbyś się przechylać na stronę berlińską?

MAJONEZ.

* *Quelle idée?!...* ani na chwilę.

SĘDZINA.

Więc pan przyznaje, że um nie potrafi się obejść bez objawienia.

MAJONEZ (na stronie).

Nigdy się filozofii nie uczył, nie rozumiem ani słowa. (*głośno*) Ja zdanie pani zupełnie podziela.

SĘDZINA.

Ale pan może nie raczyłeś jeszcze pojąć mojego stanowiska; jest ono oddzielne, od samychże nawet moich stronników zupełnie różne: i tak autor w dziele filozoficzném na pamiątkę swojej żonie mówi:

MAJONEZ.

Excusez Madame! któż to mówi na pamiątkę swojej żonie?

SĘDZINA.

Jak-to? pan nie czytałeś Obrazu myśli, —
Zasad myśli?

MAJONEZ (na stronie).

Zasady myśli!... djabie głęboko!

SĘDZINA.

Pan nie zna Floryana z Litwy!?!...

MAJONEZ.

Floryan z Litwy?! Nie przypominam sobie.
W dziejach Litwy czytałem najwięcej o Witol-
dzie, którego podobno matkę, Witoloraudę, opi-
sał nam niedawno jakiś pan Kraszewski, — ale
także nie miałem jeszcze czasu przeczytać.

SĘDZINA (uśmiewa się).

Pan jesteś uszczypliwym; — istotnie, że nie
zupełnie *à propos* pisać na Litwie o filozofii,
a ja w ogólności dzisiejszej szkole litewsko-
ukraińsko-wołyńskiej przyznaję talent do pięk-
noty dumań na kurhankach, do ukraińskich pie-
śni, ale filozofii *au profond* jeszcze nie pojęli; —
jeden autor Mięszanin zdaje się, że ośwładnął
myśl absolutną, zbliżającą go do mojej miłości
bliźniego.

MAJONEZ (na stronie).

Czy zaraza spadła z tą filozofią! gdzie się
obrócę, wszędzie mnie napastują: materya! duch!
— nic z tego nie rozumiem, potrzeba mi przy-

najmniej nauczyć się technicznych wysłowień —
o jakżeby był potrzebnym *un dictionnaire de poche
philosophique* (głośno i z miną poważną). To
samo powiedział i Plato!

SĘDZINA.

Co pan mówisz!? Plato był poganinem, on
nie mógł pojąć mojej zasady.

MAJONEZ.

Nic dziwnego, że nie pojął zasad pani sę-
dziny, bo żył lat temu kilkadziesiąt, a może
i więcej; myśli więc pani dobrodziejki pan Plato
mieć nie mógł, tak jak pani nie możesz mieć
myśli, jakie po nas w sto lat mieć będą. (na
stronie) Jakoś mi się udało, widzę, że i ze mnie
z czasem będzie filozof.

SĘDZINA.

Pan ciągle żartujesz, a to się nie godzi; tam,
gdzie idzie o najwyższy cel człowieka, potrzeba
być zawsze na serio.

MAJONEZ.

Przyznaję się do winy, (udaje czułość) ależ
pod promieniami czarownego spojrzenia trudno
myśl od zmysłowości odłączyć. Pani tak dobrze
wypatruje, tak jesteś zachwycającą (całuje po-
daną sobie rączkę sędziny).

SĘDZINA (na stronie).

Miałżeby on o moje starać się względy? być może. Sabina jeszcze za młoda, nie ma tak regularnych rysów twarzy, jak są moje, brakuje jej estetyczności uczuć, których hrabia żąda: nie myślę się, on jest moim wielbicielem (*spogląda ku Majonezowi*) *il est beau*, -- potrzeba się przekonać. (*głośno*) Pan Pantaleon widział się dzisiaj ze Sabinką?...

MAJONEZ.

Z daleka miałem szczęście powiedzieć dzień dobry....

SCENA ÓSMĄ.

Ciż sami i SABINA.

(Sabina ubrana wedle najświeższej mody.)

SĘDZINA (na stronie).

„Z daleka“ rozumiem; ona go nie interesuje, moje go wdzięki zajęły.

SABINA.

Bon jour Maman!

(Chwyta za rękę Sędziny i potrząsa nią powitalnie.)

SĘDZINA.

Bon jour, ma petite.

MAJONEZ (do Sabiny.)

Pani już dzisiaj używałaś w ogrodzie rannęj przechadzki, miałem przyjemność przesłać pani z daleka „dzień dobry.“

(Sabina spogląda na matkę, która zasiadła przy swoim stoliku i zajęła się czytaniem, Majonez daje Sabinie znak tajemny).

SABINA.

Czytając rękopis mamy o emancypacji kobiet, nie spostrzegłam grzeczności pana.

SĘDZINA.

Moje dziecko, dobrze, że się zawczasu zastanawiasz nad mojemu radami, i gdy dorosisz...

(Sabina spogląda po sobie, chcąc tém wyrazić, że już jest dorosłą; Majonez się uśmiecha.)

uznasz, że owoce mój pracy, mojego doświadczenia, w nie jednym przykrém położeniu pomocnymi dla ciebie się staną.

SABINA (całując matkę w ramię).

Obym jak najprędzej mogła korzystać z doświadczenia mamy.

SCENA DZIEWIĄTA.

Ciż sami i HORCIA (wprowadzona przez Fruzię).

(Zegar bije pierwszą.)

SĘDZINA.

Horciu, chódź tutaj, porzuć te zabawki.

(Majonez i Sabina rozmawiają po cichu z Fruzią, która, dając znaki porozumienia, oddala się. Sabina i Majonez siadają na kanapie poza plecami pani Sędziny.)

Na czém skończyliśmy wczorajszą lekcję?...

HORCIA.

Jam nie rozumiała, co mama wczoraj mówiła, nie mogę więc pamiętać, na czemeśmy skończyły; — uważałam tylko, że mama wdychała przewracając oczy do góry.

SĘDZINA.

Już wiem! wykladałam ci, że w życiu kobiety same napotkasz cierpienia (*Majonez całuje Sabinę*), że najwięksi nieprzyjaciele płci naszej, mężczyźni (*Pantaleon powtarza całus*), wszędzie cię dręczyc i prześladować nigdy nie przestaną (*Majonez wyjmuję wielką szpilkę z krawatki i udaje, że Sabinę przebić chce*), dla tego winnaś ich nienawidzić, niecierpieć, brzydzić się nimi.

(Sabina otrząsa się, udając obrzydzenie, lecz w tę chwilę podaje rękę do pocałowania Majonezowi.)

HORCIA.

Więc i tatkę mam nienawidzić i brzydzić się nim?... Gdyby nie tata, nie byłabym ja dla śniadania.

SĘDZINA.

Tutaj jest wyjątek i jeszcze inne są wyjątki; ja, mówiąc w ogólności, biorę rzecz tę ze stanowiska absolutnego, jakie każda kobieta za podstawę czynności swoich uważać ma.

(Sabina uśmiecha się i bije palcem o palec, chcąc przez to powiedzieć „dobrze, dobrze, będę o tym pamiętała.” Majonez grozi na nosie Sędzinie.)

Bywają wypadki, gdzie samowola córki względem ojca jest konieczną, bo kobieta nigdy ślepo mężczyźnie ulegać nie powinna; wolno jest udawać posłuszeństwo, ale zachowując pozor przyzwoitości, niechaj zawsze idzie za popędem swojego serca.

(Sabina cicho klaszcze w dłoni; Majonez ją całuje, Sędzina się obraca i z przerażeniem spostrzega całusy dane Sabinie.)

Panie hrabio!... *Sabine retirez vous....* Mogłamżeż się spodziewać, aby pan Pantaleon w mojej obecności ubliżał płci naszej! aby pan hrabia obrażał strojność uczuć matki i córki? — o! to są skutki berlińskiej filozofii! — Pan ich się zapierałeś przed chwilą, bo zwykłą chytrością mężczyzn żywiłeś w sercu nieczyste zamiary (*Sabina zawstydzona odchodzi*). Tak, miałeś pan zamiary względem mnie, ale widząc, że jestem nieugiętą w zasadach (*Majonez porusza ramionami*), zwróciłeś zmysłowość swoją na niewinne dziecko moje.

SCENA DZIESIĄTA.

Ciś sami i RUBLEWICZOWA. RUBLEWICZ ojciec i RUBLEWICZ syn, BŁAZEJ.

(Ubiór całej rodziny Rublewiczów jest bardzo bogaty i przeciężony brylantami u pani Rublewiczowej, łańcuchami na szyi u mężczyzn.)

RUBLEWICZ.

Ponieważ nie zastaliśmy w przedpokoju kamerdynera j. w. państwa sędziostwa dobrodziej-

stwa, wchodzimy więc bez meldowania się. Czy wolno złożyć nasze uszanowanie?

SĘDZINA.

Proszę, bardzo proszę.

(Horeia ucieka do swojego pokoju, Majonez się oddala.)

RUBLEWICZOWA.

Koło u naszej nowój karety zepsuło się, a mieszkając w sąsiedztwie j. w. państwa sędziostwa dobrodziejstwa, ośmielamy się pieszo dopełnić naszej powinności: (*wskazując na Błażeja*) mój syn Błażej.

SĘDZINA.

Mieliśmy już tę przyjemność widzenia pana Błażeja w domu naszym.

RUBLEWICZOWA.

Pani sędzina prawdziwie czyni nam zaszczyt, że naszą wizytę bez meldowania przyjąć łaskawie raczyła.

SĘDZINA.

Oh Madame!

RUBLEWICZ.

Państwo bardzo pięknie mieszkają.

SĘDZINA.

W porównaniu z Topolinem, gdzie mamy pałac, to nie koniecznie.

RUBLEWICZ.

Państwo sędziostwo dobrodziejstwo płacą podobno 9,000 złp.

SĘDZINA.

Nie umiem tego panu powiedzieć, bo to tam sekretarz nasz, z polecenia mojego męża, trudni się takimi kontraktami.

BŁAŻEJ (*ocierając kurz z obrazów, kiwa na ojca i pokazuje mu*).

RUBLEWICZ.

Malatura ta warta jest 500 złp., pendzel Rafała.

BŁAŻEJ.

JW. państwo zapewno ten obraz we Włoszech kupili?...

SĘDZINA.

Nie, to jest po naszych przodkach, mój stryj szambelan zapisał mi testamentem.

SCENA JEDENASTA.

Ciś sami i SĘDZIA.

(Rublewiczowa powstaje, Sędzia całuje ją w rękę; z ojcem i z synem wita się przyjaźnie).

SĘDZIA.

Pan dobrodziej przybyłeś po procent Śto-Jański od sumy na Topolinie, którą, jak się do-

wiedziałem, nabyć raczyłeś od pana Kutwickiego.

RUBLEWICZ.

Bynajmniej, panie sędzio! nabyłem wprawdzie rzeczoną sumkę na Topolinie, ale żądanie procentu nie jest celem naszej wizyty.

SĘDZIA.

Słyszałem, że pan dobrodziej życzy sobie kupić Topolin; ale my nie mamy wyraźnej chęci pozbycia się tego majątku, w którym od 400 lat z górą! wszyscy Razinoscy się rodzą, gdzie tyłu pradziadów spoczywa.

SCENA DWÓNASTA.

Ciż sami i panna SABINA.

(Rublewiczowie powstają, panna się kłania.)

SĘDZIA.

Prezentuję państwu moję starszą córkę, Sabinę.

1 (Znów ukłony, Sabina siada na taborecie.)

RUBLEWICZ.

Powinszować można państwu sędziostwu tak dorodnej córki.

(Sabina się uśmiecha, pani Rublewicz siedząc kłania się pochyleniem pani Sędzinie, też nawzajem kłania się Rublewiczowej. Błaziej kłania się pannie Sabinie, stary Rublewicz kłania się Sędziemu, rędzia ukłonem dziękuje, — milczenie trwa małą chwilkę).

RUBLEWICZOWA.

Powietrze mamy od dni kilku bardzo piękne.

SĘDZINA.

Istotnie, że *aura* jest przesłiczna.

RUBLEWICZ.

W dobrach państwa dobrodziejstwa zboże zapewne dobrze w polu stoi.

SĘDZIA.

Z łaski Boga, na urodzaje skarżyć się nie możemy.

RUBLEWICZOWA.

I myśmy także kupili dobra Mieszków za Suwałkami.

SĘDZINA.

Daleko od stolicy.

RUBLEWICZ.

Uwięziłem znaczną sumę na Mieszkowie, a gdy od kilku lat pan generałowicz ani procentu nie opłacał ani o oddaniu kapitału nie myślał, wystawiliśmy dobra na licytacyą — i gdy nie było konkurentów, musieliśmy się utrzymać.

RUBLEWICZOWA.

Mój mąż przedsięwziął teraz z każdym tak sobie postąpić jak z panem generałowiczem, bo tą cierpliwością nic wskórać nie mógł.

(Sędziostwo spojrzeli po sobie.)

RUBLEWICZ.

Racz mnie pan sędzia objaśnić, czyli dobra w Augustowskim przy porządnym gospodarstwie przyniosą dziesięć procent od kapitału zwykłej ceny, to jest, kupując włókę chełmińską za 2000 złp.

SĘDZIA (pomieszany).

Już jabym Topolina po 2000 złp. włoki nie sprzedał.

RUBLEWICZ.

Wierzę, blisko Warszawy, gleba zapewne pszenna; ale ja mówię o dobrach w Augustowskim.

SĘDZIA.

Dobra ziemskie w każdej okolicy mogą przynieść 10 procent, jeżeli są w ręku obywatela sprężystego względem poddanych.

SĘDZINA.

Myśmy teraz zakupili dzieło agronomiczne.

RUBLEWICZ (spogląda na syna).

Już to ja mam się kim wyręczyć.

BŁAŻEJ.

Zapomniałem papie powiedzieć, że w Mieszkowie surowo ukarałem jednego chłopca.

SABINA.

I pan mogłeś być tak okrutnym?

SĘDZIA.

Wymierzyć sprawiedliwość nie jest okrucieństwem; zapewne zasłużył na karę.

BŁAŻEJ.

Widzicie państwo, chłop ten pobił żonę swoją za to, że się w karczmie bez jego pozwolenia upiła; ja więc tego ścierpieć nie mogłem, aby w dobrach naszych kobiet nie szanowano.

SĘDZINA (z ukontentowaniem).

Czy pan słuchał filozofii?

RUBLEWICZ (mniemając, że to zapytanie jest przymówką).

Młody, zbyt porywczo sobie postąpił...

SĘDZINA.

Owszem ja uwielbiam pana Błażeja, że się ujął za pleć naszą, i chociaż chłopkę w bezwzględnym stanowisku umieszczać nie można, ale zawsze w czynie pana Błażeja znajduję dowód jego wiedzy, skierowanej bezpośrednio do emancypacji kobiet, — i prawdziwie czułabym się niewymownie szczęśliwą, aby mój mąż był podobnym uczuciem przejęty.

RUBLEWICZOWA.

Państwo dobrodziejstwo jeszcze o losie panny Sabiny nie postanowili?.... pan hrabia Majonez czy często bywa w domu państwa dobrodziejstwa?

SĘDZIA.

Dzisiaj był po raz ostatni. Filozofia jego jest berlińska. Wiadomo pani zapewne, że ci panowie nie przyznają objawu i um biorą za siłę twórczości, na co ja w żaden sposób zgodzić się nie mogę.

SĘDZIA (niecierpliw się widocznie).

SABINA.

Jeżeli uważają rzecz ze stanowiska emancypacyi; (do Rublewiczowej) jakżeż pani sądzisz?....

RUBLEWICZOWA.

Mąż mój starał się o dzierżawę konsumpcyi, ale spóźnił się ze złożeniem wadium, dla tego nie wiemy, co się dzieje w konsumpcyi.

(Sędzina zakryła twarz chustką, Sabina wstrzymuje się od uśmiechu).

RUBLEWICZ (do żony).

Kochanku! panna sędzianka mówiła o emancypacyi kobiet, to jest o usunięciu kobiet z pod zwierzchnictwa mężczyzn, — rzecz niepodobna, przecież projektować wolno; — konsumpcya to znów co innego.

SĘDZIA.

Moja żona marzy zawsze, — zwyczajnie kobieta uczona....

BŁAŻEJ (do Sabiny).

Pani grywasz na fortepianie? pani śpiewasz? czy pani dzisiaj już śpiewała?...

SĘDZIA.

Sabinko! zagraj państwu.

RUBLEWICZOWA.

Bardzo prosimy.

SABINA

(na dany znak ojca powstaje, siada przy fortepianie i gra galopadę; fortepian odstrojony).

BŁAŻEJ (podryguje, zagląda z tyłu w nuty, biegnie do matki.)

Mamulu! niech tylko mamula uważa, jak ona temi paluszkami przebiera.

(do ojca.)

Niech tylko papa patrzy, jak ona ślicznie gra.

(Sabina przestaje grać i wstaje od fortepianu; cała familia Rublewiczów składa jej ukłonem, a Błażej całuje rękę panny Sabiny.)

RUBLEWICZ (do sędziostwa).

Państwo jesteście bardzo szczęśliwi, mając tyle utalentowaną córkę.

Sędzia się kłania.)

RUBLEWICZOWA (podnosi się z kanapy i żegna się ze Sędziną).

Bardzo nam miło, żeśmy dopełnili naszej powinności.

SĘDZIA.

Wdzięczni tylko państwu dobr. być możemy.

RUBLEWICZ.

Polecam się życzliwej pamięci pana sędziego.

SĘDZIA.

Skoro tylko wełnę sprzedam, pośpieszę się z uiszczeniem procentu.

RUBLEWICZ.

Pan sędzia nie jesteś łaskaw mnie zrozumieć.

SĘDZIA.

Już to co do kapitału, raczy pan dobrodzień aż do przyszłego ś. Jana być cierpliwym; w tym roku poniósłem klęskę w inwentarzu, w przeszłym roku grad mi wybił.

RUBLEWICZ.

Panie sędzio! ani o procent ani o kapitał nie upominam się, względem tylko j. w. państwa polecam syna mojego (*Błażej i matka klaniają się*), aby mu wolno było uczęszczać w dom j. w. państwa i skarbić sobie ich łaskę.

(Rublewiczowa się kłania, Błażej całuje rękę Sędzianki.)

SĘDZIA (do Błażeja).

Zawsze pan Błażej mile u nas jest widzianym, i w każdym razie zechce się do uczuć przyjaznych Razinoskiego z ufnością odezwać.

RUBLEWICZ.

Trzymam pana sędziego za słowo.

(Całuje rączki pani Sędziny i panny Sędzianki, Błażej tuż za ojcem, niemal odpychając ojca, całuje także rączki pani Sędziny i panny Sędzianki, w zapomnieniu całuje i ręce swojej matki Rublewiczowej.)

(Wszyscy w niezliczonych ukłonach toczą się ku głównym drzwiom.)

Założona spada.

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II.

(Teatr wyobraża pięknie umeblowany pokój, mieszkanie Rublewiczów.)

SCENA PIERWSZA.

RUBLEWICZ i RUBLEWICZOWA.

RUBLEWICZOWA.

Mój mężu, Błażej mnie znów dzisiaj prosił, abyśmy go o rękę panny sędzianki oświadczyli; mówił nawet w tej mierze z sekretarzem pana Razinoskiego, który najlepsze robi mu nadzieje. Potrzeba to albo tak albo siak ukończyć, bo chłopiec zmizerniał, martwi się i chodzi jak bez głowy. Powiadał mi, że, będąc wczoraj u państwa Razinoskich, bardzo wiele z panną Sabiną rozmawiał, i zdaje mu się, że go kocha. Ale ja tam z tego i nie bardzo się cieszę.

RUBLEWICZ.

A to dla czego?...

RUBLEWICZOWA.

Oni tacy dumni; uważałeś, że nam się dzisiaj na ulicy ledwo odkłonili.

RUBLEWICZ.

No, no, jak ja im dam pieniędzy, to się oni już będą kłaniać. Zresztą pomówimy o tém z doktorem, prosiłem go, aby był u mnie o godzinie 10.

SCENA DRUGA.

Cid nami i Dr. FIGULA.

RUBLEWICZ.

O wilku mowa, a tu i wilk.

Dr. FIGULA.

Kazaliście państwo być na 10tą, a więc przyjeżdżam, lecz na kilka minut tylko, bo w pół do jedenastej mam *consilium* na Nowym Świecie; jakiś bogaty pan żąda, aby nas pięciu doktorów podpisało mu paszport na tamten świat.

RUBLEWICZ.

Czemżeż pozwolisz sobie służyć, czy kieliżkiem reńskiego wina, czy szklaneczką angielskiego piwa.

Dr. FIGULA.

Jeżeli reńskie wino jest to samo, cośmy pili u pana Ludwika, dawaj, Rubelku, reńskiego, chociaż i piwo angielskie o godzinie 10tej bardzo zdrowiu pomaga.

RUBLEWICZ.

A więc angielskiego?...

Dr. FIGULA.

Mnie wszystko jedno; — a jeżeli z brzegu reńskie wino stoi — to samo, cośmy pili u pana Ludwika, — zdrowiej pewno będzie reńskiego.

RUBLEWICZ (do sony).

Niechże matka przysle nam butelkę reńskiego i jaką przekąskę; — a proszę cię, kochanie, nie każ nikogo do mnie wpuszczać, mam z doktorem do pomówienia.

RUBLEWICZOWA.

Dobrze, dobrze, tylko stanowczo ukończcie interes (odchodzi).

SCENA TRZECIA.

Dr. FIGULA i RUBLEWICZ.

Dr. FIGULA.

Co za interes?... czy chcesz 100,000 wypożyczyć?... czy piąty dom kupujesz? czy mnie też przypuszczasz do jakiego przedsiębiorstwa?...

RUBLEWICZ.

Siadaj, szanowny panie, i posłuchaj mnie. (*Siadają obadwaj w wygodnych krzesłach*). Wiadomo ci, że syn nasz Błażej bywa u Razinoskich.

Dr. FIGUŁA.

I że się umizga pannie Sabinie, i że chciałby się z nią żenić, i że nie wiecie, jak sobie porządkować w tej mierze.

RUBLEWICZ.

Dla tego, znając twoję dla nas życzliwość i wiedząc, że się z Razinoskimi przyjaźnisz, chciałem od ciebie zasięgnąć rady.

(Słuchając wnosi na tacy długo-szyjną butelkę wina, dwa kieliszki, talersz i minogami, widelce, noże, serwetki, pieprz, oliwę i butelczki montowe; stawia na stoliku i odchodzi.)

Dr. FIGUŁA.

Jest to interes, potrzebujący obszernego rozbioru, (*patrzy na zegarek*) wszakże można go i w krótkości wysłować.

RUBLEWICZ (*nalewa wina, kraje minogi*).

Bądź łaskaw, doktorze, wypić wprzód kieliszeczek.

Dr. FIGUŁA.

Czy to jest to samo, cośmy pili u pana Ludwika?...

RUBLEWICZ.

Nie to samo, ale o wiele lepsze. Wojciech pożyczając odemnie pieniędzy na podróż do Węgier, przysłał mi sześć butelek; wypiliśmy wczoraj z radcą prawnym dwie butelczki, i radzca zapewnia, że jest prawdziwy *Cabinets Schloss Johannisberger* z roku 1842.

Dr. FIGUŁA (*wypił kieliszek*).

Otóż to mi kieliszek wina! powiem ci w sekrecie — lepszy od wszystkich recept, jakie kiedykolwiek zapisałem.

RUBLEWICZ (*nalewając drugi kieliszek*).

Szczerze się cieszę, że trafiłem do smaku; doktorze! — minogów...

Dr. FIGUŁA.

Zdają się być świeże; (*zajada*) powiedz mi, panie Stefanie, czy wy sobie tego życzyście, aby się Błażej ożenił z sędzianką.

RUBLEWICZ.

Ha!... kiedy ją sobie upodobał.

Dr. FIGUŁA (*popija wina*).

Ale czyś rozważył wszystkie niewłaściwości takiego związku.

RUBLEWICZ.

Że niby Razinoscy pochodzą z wielkiej rodziny?...

Dr. FIGUŁA.

Z wielkiej czy nie z wielkiej, ale że mają straszliwe długi, a ich majątek, — mówiąc pomiędzy nami, — jest na skonaniu.

RUBLEWICZ.

Jużbym ja to temu skonaniu zaradził. — Topolin wart brat bratu 500,000, dałoby się nawet z wierzycielami poczynić korzystne układy; zresztą chociażby i majątku nie było, ale zawsze miło połączyć się z rodziną, mającą pewne znaczenie, wpływy, piękne koligacje, — przecież człowiek na to zbierał, aby stan dzieci podwyższyć i uświetnić.

Dr. FIGUŁA (nalewa sobie czwarty kielasek).

Panie Stefanie! mówię szczerze i otwarcie; jestem temu zupełnie przeciwny, aby się cisnąć do towarzystw arystokratycznych: uwłaczamy sobie przez to nadzwyczajnie, a uświęcamy ich najnędniesze przesady. Skarżymy się na ich arystokrację, a wszakżeż, gdybyśmy się do nich nie pili, gdybyśmy tém samém naszej godności nie ubliżali, — ten tak gęsty dym zrzędniałby bardzo. Pośród obywateli miasta Warszawy znajdujesz każdego równym sobie, pośród rodziny Razinoskich będą zawsze na ciebie patrzyli z góry, i często doznasz od nich cierpkiego za swoje pieniądze upokorzenia.

RUBLEWICZ.

Razinoski jest zawsze dla mnie szczególnie grzeczny.

Dr. FIGUŁA.

Nie dla ciebie, ale dla twoich pieniędzy. Gdybyś jutro zbankrutował, jutro zamknięto-by drzwi przed panem Błażejem, a pan Paproć Razinoski nie zarumieniłby się nazywać cię „asan“, albo „mój Rublewiczu“, albo „mój przyjacielu“ — to znaczy: mój fagasie, mój butlusi, mój pachółku.

RUBLEWICZ.

Ale że ja nie zbankrutuję, więc nie mam przyczyny obawiać się takich tytułów, i przeciwnie, jak na hipotekę Topolina 300,000 umieścić, mogę być pewnym, że Razinoscy zawsze grzeczni pozostaną.

Dr. FIGUŁA (nalewając sobie szósty kielasek).

Jak sobie pościelesz, tak się i wypisiz; co do mnie, radzę odstąpić od tego zamiaru; — ale róbcie, jak chcecie.

RUBLEWICZ.

Otóż chciałem cię prosić, abys w południe chciał być u państwa Razinoskich i wymiarkował, czy możemy dzisiaj oświadczyć naszego syna, czy też jeszcze się wstrzymać.

Dr. PIQUEA.

Stanie się, panie Stefanie, twojej woli zado-
syć, będę u was z odpowiedzią o godzinie 2ej;
teraz żegnam cię, bo już jedenasta wybiła (*do-
pija resztę z szóstego kieliszka, całuje się z Ru-
blewiczem i odchodzi*).

RUBLEWICZ (*odprowadziwszy do drzwi, mówi na progu*).

Czekamy więc o drugiej.

Zmieniają się dekoracje.

(Teatr wyobraża pokój Sędziego Razinoskiego.)

SCENA CZWARTA.

RAZINOSKI, PIÓRCZYŃSKI i JANKIEL.

(Sędzia chodzi w samyślewie; Jankiel stoi przy drzwiach z czapką na ziemi le-
żącą; Piórczyński pod światło przycina pióro.)

SĘDZIA.

Pisz waćpan.

PIÓRCZYŃSKI

(macza pióro, zasiada do stolika i słucha z roztwartą gębą).

SĘDZIA (*dyktuje*).

Wielmożny mości dobrodzieju! wykrzyknik.

PIÓRCZYŃSKI

(kończąc pisanie, zawrze winion powtarzać ostatni wyraz.)

Dobrodzieju! wykrzyknik.

SĘDZIA.

Odezwa wielmożnego pana dobrodzieja,

PIÓRCZYŃSKI.

dobrodzieja.

SĘDZIA.

w której wielmożny pan dobrodziej,

PIÓRCZYŃSKI.

dobrodziej.

SĘDZIA.

z nagłością niewłaściwą wielmożnemu panu
dobrodziejowi,

PIÓRCZYŃSKI.

dobrodziejowi.

SĘDZIA.

wyplaty kapitału żądasz,

PIÓRCZYŃSKI.

żądasz.

SĘDZIA.

przekonywa mnie, że wielmożny pan dobro-
dziej,

PIÓRCZYŃSKI.

dobrodziej.

SĘDZIA.

w istotnej jest potrzebie.

PIÓRCZYŃSKI.

potrzebie.

SĘDZIA.

Pozwól przecież w. m. pan dobrodziej,

PIÓRCZYŃSKI.

dobrodziej.

SĘDZIA.

że prosić będę w. m. dobrodzieja,

PIÓRCZYŃSKI.

dobrodzieja.

SĘDZIA.

abyś cierpliwym być raczył

PIÓRCZYŃSKI.

raczył.

SĘDZIA.

do roku przyszłego,

PIÓRCZYŃSKI.

do roku 1845.

SĘDZIA.

Cóż waćpan *koncypujesz*, dyktowałem do roku przyszłego.

PIÓRCZYŃSKI.

A toć ja też napisałem (*zagląda na papier*) do roku 1845.

SĘDZIA.

Rok przyszedł jest *futurum* nieoznaczone, rok zaś 1845 jest termin oznaczony. Waćpan od trzech lat w moich usługach i jeszcze nowicyszem jesteś.

(Jankiel kląska i pokazuje na głowę)

PIÓRCZYŃSKI (skrobie scyzorykiem),

do roku przyszłego.

SĘDZIA.

Kropka i kreska poprzeczna.

PIÓRCZYŃSKI.

Jest.

SĘDZIA.

Donoszę bowiem w. m. panu dobrodziejowi,

PIÓRCZYŃSKI.

dobrodziejowi.

SĘDZIA.

czemu w. p. dobrodziej zawierzyć raczysz,

PIÓRCZYŃSKI (na stronie).

Głupiby był, żeby wierzył (*głośno*) — raczysz!

SĘDZIA.

że

(namyśla się.)

że

PIÓRCZYŃSKI.

(Piórczyński liczy na papierze: 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, i mówi po cichu)
musiałby też mieć serce z granitu, gdyby czekać nie chciał.

SĘDZIA.

że po doznanej klęsce w inwentarzu,

PIÓRCZYŃSKI.

w inwentarzu.

SĘDZIA.

po ogólnem w dobrach moich nieurodzaju,

PIÓRCZYŃSKI.

nieurodzaju.

SĘDZIA.

gradobiciu, suszy i ustawicznych deszczach,

PIÓRCZYŃSKI.

suszy i ustawicznych deszczach.

SĘDZIA.

nateraz

PIÓRCZYŃSKI.

nateraz, *(na stronie)* przy takim gospodarstwie i na zawsze.

SĘDZIA.

wypłata kapitału staje się dla mnie niepodobieństwem.

PIÓRCZYŃSKI.

niepodobieństwem.

SĘDZIA.

Kropka i wykrzyknik.

PIÓRCZYŃSKI.

Wykrzyknik.

SĘDZIA.

Przy tej sposobności,

PIÓRCZYŃSKI *(po cichu)*.

Piękna sposobność!

SĘDZIA.

zechce się w. m. pan dobrodziej zapewnić,

PIÓRCZYŃSKI.

zapewnić *(na osobnej karteczce dopisuje kreskę)*

SĘDZIA.

że jestem w. m. pana dobrodzieja

PIÓRCZYŃSKI.

dobrodzieja *(pisze jedenastą kreskę)*

SĘDZIA.

i jwm. pani dobrodziejki

PIÓRCZYŃSKI *(skrobiąc się po głowie, mówi na stronie)*.

Trzeba drugą tabelę dla płci żeńskiej założyć *(głośno)* dobrodziejki.

SĘDZIA.

wraz z żoną moją

PIÓRCZYŃSKI.

moją.

SĘDZIA.

Ogonek, ustęp, — najniższy sługa, — kropka.

PIÓRCZYŃSKI.

Jest.

SĘDZIA.

Warszawa dnia 20 czerwca.

(odbiera Piórczyńskiemu pióro i pisze, głośno wymawiając):

Razinoski, Sędzia pokoju, dziedzic dóbr Topolina z przyległościami.

PIÓRCZYŃSKI (robi kopertę i pieczętuje).

SĘDZIA.

Cały tydzień te przebrzydłe korespondencje, głowy już na karku nie czuję. Napisz waćpan adres: „Wielmożnemu Czmuchowskiemu, posesorowi dóbr Jemioły, w. m. panu i dobrodziejowi.“

JANKIEL (zbliża się).

Z przeproszeniem j. w. pana.

SĘDZIA.

Cóż mi powiesz nowego, mój Jankielku.

JANKIEL.

Nic nowego, bez uraze pańskie stare rzeczy. Pinkus upomina się o dostawę okowity; Lilienheim koniecznie żąda mieć wypłatę na 1 lipca; z Kałuszyna żydzi także nie chcą czekać; — w domu bięda na przedeźniwku, ludzie nie mają

co jeść, z obwodu pełno kozaków we wsi, owsa nie ma do siewu, całe pole od Zasiadały odłogiem leży, chłopci nie mają za co pić, — bięda, wielga bięda.

(Drapie się po głowie.)

SĘDZIA.

Przywiózłeś pieniądze z *pachtu*?

JANKIEL.

Przywiózłem kwitki: krowy nie chcą doić, nie ma trawy, wielgie ścisk o letniego pastwiska w naszym Topolinie.

(wydobywa z kieszeni spory pęk brudnych papierów i kładzie na stół.)

SĘDZIA.

Jak to krowy nie chcą doić? przecież mamy rok przekropny, grunta są dolne, na letnią paszę nie powinienes się skarżyć.

JANKIEL.

Właśnie tego że dolne, wsistko wymokło, a i od dawnego czasu deszczu ani kropli nie było; nadto jesce pan ekonom bardzo sobie pozwala sąsiednim wioskom pasać konie, bydło i owiec na całym Topolinie; — zkąd się ma wziąć trawa?... Nasze dworskie krowy ledwo że łożą, tego płowe i trzech graniaste wcale dorznąć musieli.

(liczy koprowiną 18 złp.)

SĘDZIA

(przegląda kwitki, zgarnia pieniądze, ociera rękę chustką i mówi z zasmuceniem).

Potrzeba mi coś stanowczego uczynić.

JANKIEL.

Z przeproszeniem j. w. pana słyszałem, że nasza panna Sabinka wyjdzie za mąż za pana Rublewicza, reicher Poryc; — jegomość przy tej okazji się podeprze, bo najgorzej ze starym Rublewiczem zrobić krewieństwo, to już o pieniądze nie będzie kłopotów.

SĘDZIA.

Tak, byłoby to nie złe; Rublewiczowie są bardzo bogaci, ale moja żona, widzisz, mój Janklu — uważa na urodzenie.

JANKIEL.

Na urodzenie?... przecie jeszcze czas po tego.

SĘDZIA.

Widzisz, mój Janklu... Rublewicz nie jest szlachcicem.

JANKIEL.

Po co, dla czego nie ma być szlachcicem?..

SĘDZIA.

Bo nim nie jest.

JANKIEL.

Jakto nie jest szlachcicem? takie bogate człowiek? ma swoje wioski, kamieniców, wszelkiego dostatek, i owszem kapitały u bardzo wielu szlachty.

PIÓRCZYŃSKI (trąca Jankla i wskazuje mu na migi, aby dalej mówił).

JANKIEL (ośmielony).

Pana Rublewicza brat rodzone także ma znaczenie. Był kasyerem w Wyszku przez siedm roków, teraz trzyma propinacye w jedenastu miasteczkach, ma swoje własne gorzelniarne statki i podobno chce kupić znacznych dóbrów.

SĘDZIA.

Właśnie to, że cała ich familia trudni się propinacyami.

JANKIEL.

Przepraszam j. w. pana, a to teraz największe panowie koło wódki chodzą; dawniej się żydzi trudnili propinacyą — i było bardzo dobrze! — dzisiaj szlachta sami chcą profitować, — ja już nie wiem, jak to dalej będzie z tymi żydami, wszystko nam zakazują.

SĘDZIA.

Tylko nie szachrować.

JANKIEL.

Nie bardzo można i pod te czasy szachrować; chłop jucha mądre, szlachcie mędrze od żyda, a w dużych miastach wszyscy jak żydzi, tylko jeszcze ci wielcy panowie, którzy mają długów, to dadzą zarobek.

SĘDZIA.

Powiedz mi, nie wiesz tam kogo na wsi, coby pożyczył pieniędzy; Warszawa małe miasteczko, obniesli się pomiędzy sobą i ani grosza żaden dać nie chce.

JANKIEL.

Proszę j. w. pana *richtig* u nas tak samo; wspomnieć któremu kupcowi na 6 mil w około, że pan sędzia Razinoski życze mieć pieniądze, to zaraz nakręci czapkę na ucho i nie nie odpowiadziawszy idzie sobie precz.

PIÓRCZYŃSKI (zbliża się).

Jaśnie wielmożny panie, słyszałem na mieście, że pan Rublewicz synowi swojemu w razie, gdyby się żenił, odda Mieszków i 300,000 złp. gotowizną.

JANKIEL.

300,000! aj! waj!... Niechby jegomości od zięcia połowę pożyczył, jakiby to można długie czas paradę robić, i długów niektóre popłacić, co pilniejsze u żydów, i byłoby znów wszelkie dogodności i reputacye.

SĘDZIA.

Reputacya nie osobiwsza, gdybym moje córkę wydał za syna byłego fabrykanta świec.

JANKIEL.

Cóż to złego fabrykant świec? przecie szlachtą każdy być nie może, potrzebne dla ludzi i świece; — nadto my wszyscy fabrykanci: ja fabrykuję mleko; j. w. pan zboże; nasz pan podsędek fabrykuje sprawiedliwość; szewc fabrykuje trzewiki; kupiec od korzenia fabrykuje wino; jest takich wiele, co fabrykują pieniądze, sumienie, i różnych okoliczności, — o czém i mówić się nie godzi. Albo to mało takich panów, co grosza majątku nie mieli, a posiedziawszy kilka lat na urzędowaniu, sfabrykowali sobie ładnych dóbrów, kamieniców, a co mądrzejsi kapitałów do kieszeni (*na teatr*), aj! waj! ja was znam wszystkich pocziwych! (*obracając się do sędziego*) zwyczajnie na świecie złodziei nigdy nie brakuje; zresztą, pan Rublewicz był dawniej nizkim człowiekiem, ale teraz jest (*kląska*) na *bardzo wysokim* stopniu.

SĘDZIA.

Ale ludzie pamiętają, czém kto był.

JANKIEL.

Przepraszam, wcale nie pamiętają; ja siedziałem w kryminale za kradzież koni i byłem złodziejem, — a teraz z łaski j. w. pana jestem sobie bardzo uczciwe pachciarz w Topolinie. Kiedy się jeno kto chce poprawić, to mu pewnie pan Bóg nie zagrodzi. — Jaśnie wielmożny pan też

się może poprawić, tylko nie trzeba zwłóczyć z panną sędzianką, i kiedy Rublewicz pożąda, dać mu ją bez żadnej sprzeczki; — należy się do ciasów stósować, bo j. w. pan świata nie przerobi, i tytułem ani swoją godnością długów nie zapłaci.

SCENA PIĄTA.

Cią sami i JAN lokaj.

JAN (lokaj.)

Pan Lichwiarski!

SĘDZIA.

Powiedz, że jestem zatrudniony, chory, albo, że mnie w domu nie ma. (*lokaj odchodzi*)

SĘDZIA.

Upomina się o procent od procentu, zdarł mnie jak najgorszy żyd.

JANKIEL.

Albo to żyd ma być najgorszy?! Ja tutaj mieszkałem na Grzybowie przez trzynaście roki i wiem, że w Warszawie są panowie gorsi od wszystkich żydów razem. Ten Lichwiarski, co chciał przyjść do j. w. pana, on mnie raz pożycał na fant 18 dukatów, i przez jeden rok odebrał odemnie samego procentu ziewięć du-

katów równusienkie, i kiedy mnie wedle tych koni wsadzili do prochowni, on ten fant mojej żonie perły i zauszniczków, co były warte najmniej 40 dukatów, kazał przerobić na ślub do swojej córki, — a jakem mu się potem upominał o moje rzeczy, wypchnął mnie za drzwi i skarżyć się kazał. Takich panów, co krzywdą żydowską żyją, co szlachtów, urzędników, rzemieślniczych ludzi i młodych paniczów ze skóry obdzierają, to-by w sto kamienice nie zmieścił. — W swoim pokoju takie jest bezczelne i niełitościwe na nędze ludzkie, że aż płakać potrzeba, — a jak wyjdzie na miasto, bardzo uczciwe człowiek, chodzi do kościoła, modli się, — zostaje na wielkiem poszanowaniu w swoim pięknym płaszczu, kaźden mu się kłania, — a jabym mu w oczy plunął, kiedy on taki (*z za-perzeniem i ze złością*) zdzierca, (*prędko*) złodziej, krzywdziciel, procesownik, fanciarz, rabusnik — (*oddycha*) juche!

SCENA SZÓSTA.

Cią sami i JAN lokaj.

Lokaj JAN.

Krawiec damski przyniósł rachunek.

SĘDZIA.

Powiedz, iżby przyszedł za tydzień.

LOKAJ.

On nie myśli odejść; mówi, że już bóty podarł.

SĘDZIA.

Powiedz, żem wyjechał na miasto.

LOKAJ.

Chce czekać, chociażby cały dzień.

SĘDZIA.

Masz oto 18 złp., daj mu *à conto*, niechaj będzie grzeczny, przecież zawsze u niego daje się robić.
(lokaj odchodzi)

JANKIEL.

Jak uważam, j. w. pan masz także dużo nieprzyjemnościów; my w Topolinie myślimy, że się j. w. państwo tu bardzo dobrze zabawia, a w Warszawie jest także łamanie głowy, — ale wszystko niepotrzebne, Rublewicz onby już to uprzątnął.

SĘDZIA.

Przecież ja mu córki do domu nie zawiozę; był tu kilka razy, przed 4ma tygodniami byli rodzice; zdaje się, iż mu się podoba, — ale się jeszcze nie oświadczył: ja z mojej strony zezwolę, byle tylko zechciał mi pożyczyć chociaż 100,000 złp.

PIÓRCZYŃSKI.

Powiałał mi wczoraj pan Błażej, że dzisiaj mają go rodzice formalnie oświadczyć, a co się tycze pożyczki, już w tej mierze bądź j. w. pan łaskaw mi zawierzyć, że tak ojciec jak i syn nie są od tego i chętnie....

SĘDZIA.

Jak to, waćpanbyś śmiał mówić o moich interesach?....

PIÓRCZYŃSKI.

Jam nie mówił, tylko powiałałem, że j. w. państwo mają odebrać spadek po najdłuższym życiu księdza biskupa, który jest już w wieku i zawsze słabowity, — że są wszelkie pewne, uzasadnione nadzieje do najpomyślniejszej przyszłości.

SĘDZIA (na stronie).

Chyba na tamtym świecie.

PIÓRCZYŃSKI.

Ale że teraz wypada j. w. panu mieć 150,000 złp. z umiarkowanym procentem na uporządkowanie swoich interesów; a pan Rublewicz wyrzekł mi na to, iż się w tej mierze rozmówi z panem doktorem Pigułą, który podobno z polecenia j. w. pana już tam coś rozpoczął; — pan Rublewicz też mówił, że po ślubie panny Sabiny z panem Błażem głowa pana sędziego

nie będzie bolała, i że nietylko 150,000 ale i 200,000 wyliczy na hipotekę Topolina, że spłaci wszystkich wierzycieli i nie dozwoli, abyście j. w. państwo dłużej trapieni i prześladowani byli.

SĘDZIA (skoczył do Piórczyńskiego).

Czy to być może?!... więc mówiłeś otwarcie i on ci taką dał odpowiedź... Ja zawsze do tego Rublewicza miałem skłonność i szczególniejszy pociąg serca. — Więc waćpan *per modum* intercyzę ułożył; (*całuje go w głowę*) dobrze, dobrze się spisał, anim się mógł spodziewać; ja tego waćpanu nie zapomnę, odbierzesz waćpan trzechletnią zaległość pensyi swojej i nadto dam ci 500 złp. na wyprawę dla Fruzi, — powiadała mi, że się kochacie; zrobię waćpana komisarzem, będziecie mieszkać w Topolinie, a i my Warszawę opuścimy; dała mi się we znaki, chcę odpocząć, — pojedziemy do wód, do Drezna.

JANKIEL.

A ja co dostanę?...

SĘDZIA.

Za co?!

JANKIEL.

JW. pan zapomniał, że j. w. pana namawiał, aby pannę Sabinę wydać za pana Rublewicza.

SĘDZIA.

Prawda, tyś mi także radził, — dam ci kilka zagonów pod kartofle i opuszczę ci po 5 zł. na każdej krowie.

JANKIEL (kłania się).

Prosiłbym także j. w. pana o tę srokatą szkapinę, bo Bóg żywie, nie mam czém na jar-marek wyjechać; moja kobyła mi zdechła za pańskimi interesami, i bardzo jest nieładne, że faktor j. w. pana Razinoskiem na piechotę chodzić musi.

SĘDZIA.

Mniejsza o konia, mój Jankielku, dam ci i konia, tylko żeby to już było po ślubie.

JANKIEL.

Dziękuję tymczasem j. w. panu; ja go zaraz za powrotem zaprzęzę, tylko że nie mam do czego, bo mi się moje tradajke na dwóch kółkach do szczeret roztrzęsło; żeby j. w. pan był łaskaw kazać mi wydać ekonomowi tego zielone bryczki, co stoi w pańskiej wozowni.

SĘDZIA.

Możesz wziąć i bryczkę, ale postaraj mi się dzisiaj, tutaj w Warszawie, o kilka butelek szampańskiego wina; po zaręczynach trzeba wypić zdrowie państwa młodych, a Rublewiczowie tylko szampańskie piją.

JANKIEL.

Niech j. w. pan napisze kwitek do ekonoma,
bo on mnie nie będzie chciał wierzyć.

SĘDZIA (pisze i czyta).

Wydasz waćpan 3 zagony pod kartofle.

JANKIEL.

Sześć proszę j. w. pana, te trzy to dla mo-
jój żony.

SĘDZIA (pisze i czyta).

Sześć zagonów, srokatego konia z fornalki,
i moję bryczkę od pola, zieloną.

JANKIEL (do Piórczyńskiego).

Względem tego wina to pan Piórczyński
będzie się postarać, bo ja nie mam teraz w War-
szawie żadnych znajomościów z kupcami.

SĘDZIA (oddając Janklowi kwitek).

Tylko was proszę, abym nie miał zawodu
a ztąd wstydu; idźcie na miasto, ja uwiadomię
moję żonę i moję córkę. *(wszyscy odchodzą).*

Teatr zmienia się na pokój bawialny.

SCENA SIÓDMA.

SĘDZINA i MAJONEZ.

Sędzina siedzi przy stoliku za ogromnym stosem książek.

SĘDZINA.

Gdybym tego była pewną, że waćpan szcze-
rze system mój wszędzie, publicznie, jawnie i
głośno popierać będziesz, to — jakkolwiek mnie,
hrabio, obraziłeś i zawiodłeś w moich uczuciach...

MAJONEZ (klęka i całuje rękę).

Zawsze cię, pani, wielbić będę!

SCENA ÓSMA.

Ciś sami i SĘDZIA, SABINA i FRUZIA.

SĘDZIA.

Co się to ma znaczyć!?

MAJONEZ (zrywa się).

SABINA.

Fruziu, ratuj mnie! *(pada na ręce Fruzi i niby mdleje).*

MAJONEZ (szalamuje ręce i stoi osłupiały).

SĘDZINA (powstaje z krzesła).

Pan Pantaleon hrabia Majonez prosił mnie
właśnie o rękę Sabiny.

SABINA (zrywa się i biegnie do Majoneza).

Przepraszam cię, Pantaleonie.... ale wiedząc, ile matka moja przejęta jest emancypacją... (rozmawiają po cichu; Fruzia podsłuchuje, co sędzia mówi).

SĘDZIA (na stronie do żony).

Życzyłbym jednakże, aby pani na przyszłość oświadczyły o rękę córek naszych w mojej obecności przyjmować raczyła; — teraz to tylko pani powiem, że pan Majonez zięciem naszym być nie może. Nie mam nic przeciwko niemu; młodzieniec z dystyngowanej rodziny, — familia Majonezów jest piękna; chłopiec przystojny, dobrze *edukowany*, — ale bez żadnego majątku!... Nam potrzeba bogatego zięcia.

SĘDZIA.

A zkąd-że go weźmiemy?...

SĘDZIA.

Rublewiczowie dzisiaj Błażeja oświadczą.

SĘDZIA.

Nigdy! nigdy nie zezwolę na to; jego matka nie mówi po francusku, ojciec był mydlarzem, syn nie zna żadnego systemu filozofii.

SĘDZIA.

Zna filozofią tysiąc razy lepiej jak Majonez, jak ja, jak pani.

SĘDZIA.

Błażej Rublewicz?!

SĘDZIA.

Po ślubie ze Sabinką pożyczą nam stary Rublewicz 200,000 złp.! słyszysz 200,000!

SĘDZIA.

A czyż-by nie mógł pożyczyć bez tego połączenia się dzieci naszych? — można mu dać większy procent; będąc z nami spowinowacony — objasnij go w tém — byłoby nieprzyzwoicie dla niego, aby się o dług upominał; jeżeli zaś da jako nam obcy, poczeka do śmierci ks. biskupa.

SĘDZIA.

Pani sędzina siebie i mnie nie oszukuj; ks. biskup grosza przy duszy nie ma, wszystko rozdał pomiędzy ubogich.

SĘDZIA.

Co za nieszczęśliwy nałóg!

SĘDZIA.

Wiem nawet, że jego zaślepienie do tego stopnia doszło, iż w zeszłej zimie nawet i klejnoty sprzedał na odzienie i na drzewo dla żebraków, twierdząc, że oni wszyscy są jego krewni.

SĘDZIA.

Co za zgorszenie dla bezdzielnych osób! on działa ze stanowiska....

SĘDZIA (z oburzeniem).

Co się sędzinie pytać o jego stanowisko, my patrzejmy naszego stanowiska, i kiedy się nastręcza tak kardynalny ratunek, nie puszczać go z ręki, bo zginiemy z kretelem. Wiesz jejmość, że na Topolinie, któren nie wart czterech kroć, przeszło 300,000 mamy długu prócz rewersów, których także w kapelusz nie zmieścisz. Nikt grosza więcej pożyczyć nie chce, w domu brak wszystkiego; jejmość bo przed filozofią nie ma czasu o to się spytać, aleć ja dzisiaj, gdy kawy zabrakło, niemieszanej cykoryi z mleczkiem napiłem się rano! O pani dobrodziejko! w domu Razinoskich nigdy cykorya nie powstała!

SĘDZIA.

I ja jęć u moich rodziców nie zaznałam.

SĘDZIA.

Moja garderoba już nawet bardzo krucha, najlepszy frak mam na sobie, a pamiętaj, pani! że suknie czynią człowieka!

SĘDZIA.

Ach!... a ja już od 4ch tygodni i łokcia wstażki nie kupiłam! — cały świat nosi cyganki, ja jeszcze w kardynałce! ledwo nie zwaryuję.

SĘDZIA.

I Sabinka jakoś coraz to skromniej się ubiera, a przecież to córka Razinoskiego.

SĘDZINA.

Panienka może się obejść w przerabianych sukienkach, ale ja, sędzina!

SĘDZIA.

Przeciwnie, rozumiem, że waćpani nie tyle potrzebujesz stroju.

SĘDZINA.

A to ciekawam, dla czego ja nie mam potrzebować stroju?

SĘDZIA.

Bo waćpani jesteś już osobą, która powinna być bez pretensyi.

SĘDZINA.

Jakto? co waćpan pleciesz? ja mam być bez pretensyi?

MAJONEZ (przybliża się).

Więc los mój, szczęście całego życia, — nie znajduje żadnej przeszkody w sercu rodzicielskiem j. w. państwa.

SĘDZIA

I owszem zachodzi przeszkoda.

MAJONEZ.

Przez Boga! co słyszę? Panie sędzio, żartujesz!

SĘDZIA.

Niemylna prawda!... Z ojcem waćpana razem odbyliśmy podróż do Paryża.

MAJONEZ.

Może pojedynek?...

SĘDZIA.

Nie, żyliśmy zawsze w najwyższej zgodzie. Ildefons hrabia Majonez, ojciec pana Pantaleona, i ja Spirydion, staroście Paproc Razinoski, byliśmy przez lat 3 nierozłącznymi przyjaciółmi we wszystkich salonach paryzkich; rozstając się, gdy hrabiego brano za dłużni do więzienia, — dostałem palpitacji serca, która mi w całym życiu, przy każdym rozczuleniu, dotkliwie się odzywa (*ociera oczy i chwytą się za serce*). Wróciwszy do kraju, wpierw nim ojciec pański uwolnił się z przykrego położenia, starałem się o rękę panny kasztelanki, ja miałem być ojcem pana Pantaleona; — intrygi, zjawienie się hrabiego, zerwały ten stósunek, który już był daleko posunionym, — jednakże nie przestałem na chwilę być przyjacielem domu Majonezów.

SĘDZINA (na stronie).

Nigdy mi o tém nie powiadał, — oj wy mężczyzni!...

MAJONEZ.

I ja też licząc na tę przyjaźń pana dobrodzieja, o której mi s. p. ojciec mój tak często

ze łzami wspominał, o której s. p. matka moja bez wzruszenia wyrzec nie mogła...

SĘDZIA (*ociera oczy*).

MAJONEZ.

Miałebym w sercu przyjaciela rodziców moich znaleźć przyczynę najsroźszej dla mnie męczarni, najczarniejszej rozpacz, — cios samobójczej śmierci!

SĘDZIA (*gwałtowną tamuje niepokojność*).SABINA (*zbliża się do ojca i mówi z całą naiwnością*).

Papo! ja kocham Majoneza....

MAJONEZ (*rzuca się do nóg Razinoskiego*).

SCENA DZIEWIĄTA.

Ciż eami i Dr. FIGUŁA.

(Figuła modnie ubrany, z wstążeczką u fraka, z wielką trzcina, z pugilaresem chirurgicznym w bocznej kieszeni).

(Majonez powstaje z kolan).

Dr. FIGUŁA.

Mam honor zapytać się o zdrowie j. w. państwa dobrodziejstwa.

SĘDZIA.

Witam szanownego konsyliarza.

FIGUŁA

Pan sędzia zdrow? dobrze, a pani dobro-dziejka?

(całuje podaną sobie rączkę.)

SĘDZINA.

Ja zawsze słabą jestem: kongestya do głowy, ból skroni, tłoczenie na ciemieniu (*wskazuje miejsca cierpień*), krótki oddech, spazma i szum w uszach ciągle mi dokuczają.

FIGUŁA.

Pani zbyt nateżasz myśli, mało masz domowego zatrudnienia; potrzeba pani ruchu umiarkowanego, utrudzenia ciała a odpoczynku głowie.

SĘDZIA (do Majoneza).

Później pomówimy o tém.

SĘDZINA (odpowiadając doktorowi).

Przyjąwszy raz na moje barki dźwignienie filozofii z jej mylnego stanowiska, nie mogę na pół drogi ustawać.

FIGUŁA.

Ale czyliż bez pani dobrodziejki nie damy sobie rady? potrzebaż koniecznie, aby płeć słaba fatygowała się w tak uciążliwe szranki?...

SĘDZIA.

Jesteście na ścieszcze potępienia, ja was muszę nawrócić, oświecić, wybawić.

FIGUŁA.

Pozwól, pani, że zdanie moje wyraźnie objawię: filozofia nie jest powołaniem kobiety.

SĘDZINA.

Więc chcielibyście, abyśmy w zupełnej żyły niewiadomości?...

FIGUŁA.

Bynajmniej! — Nie jesteście przeznaczone niewolniczym wzrokiem obojętnie na swoje patrzeć istnienie, przeciwnie — powinnością waszą jest starać się o to, ażeby życie wasze nie było samą zmysłowością. — Ale zaniedbywać najświętszych obowiązków żony i matki, niszczyć zdrowie swoje, aby wyjść w szranki z mężczyznami o porządek świata, nie do was należy. Przyrodzenie dało wam dział wielki, — nie za- zdróście nam praw naszych. Pierwotne wychowanie dzieł, początkowa dla tychże nauka miłości Boga i bliźniego, zaszczepienie w młodociane serca cnót chrześcijańskich, ukształcenie waszych córek, łagodzenie surowszych nawyków mężów, uprzyjemnienie życia całego społeczeństwa, oto wasz zawód! Przez śpiew, muzykę, poezję, malarstwo, przez skarb uczuć swoich wyrzecie najszcześniejszy wpływ na nas, a użycie siły i częć umnieją nam zostawcie, bo te dwa wydziały do waszego departamentu nie należą, i każde pokuszenie się wasze albo chybi celu, albo wyrodzi karłowaty lub szalony

potwór. Natura uczyniła pomiędzy nami widoczną granicę, nie przechódźcie za naszą! Błogosławiać wasze dobrodziejstwa żony i matki, wielbiąc serce, szanując radę waszą, — nie żądamy od was więcej. Po cóż więc chcecie być naszymi nauczycielami, zapaśnikami na drodze ciężkich badań? Czyż żądacie, abyśmy szorstką dłonią nad kołyskami dzieci naszych pończochy robili, a wy iżbyście z mieczem w drobnych rączkach czytały nam prawidła wszechświata! Myż będziem zbiorem uczuć?... wy absolutną potęgą?... Wolę Boga, porządek natury czyli chcecie znieść i przekształcić?...

SEDZIA

(patrzając na swoją żonę, wyciąga palce przed swoim nosem, chcąc oznaczyć, że sędzina nosa dostała).

SĘDZINA.

Czyliż ta surowa *oracya* była jedynym powodem, że nas pan Piguła odwiedzić raczył?

PIGUŁA.

Stało się to przypadkowo, od niechcenia: ja przybyłem, (*spozstrzegając Majoneza*)... Pan hrabia już wychodzi; po tak mocnym katarze należałoby się szanować, — upominałem.

(do Sędziego.)

Nie mógłbym z państwem dobrodziejstwem sam na sam pomówić.

SEDZIA (do żony.)

Proszę cię, kochanie, na chwilę.

(Podaje z trefnością rękę sędzinie, ona mu grozi przyjaźnią, — oddalają się wraz z doktorem do pokoju sędziego.)

SCENA DZIESIĄTA.

SABINA, MAJONEZ i FRUZIA.

MAJONEZ.

Sabino! chwila stanowcza nadeszła, Piguła jest przysłany od Rublewiczów.

FRUZIA.

Na moje własne uszy słyszałam, iż pan sędzia powiedział pani sędzinie, że Rublewiczowi a nie panu Majonezowi rękę panny Sabiny przeznaczają, że pan Rublewicz pożyczyci 200,000 złp., że dzisiaj będą zaręczyny.

SABINA.

Więc mnie przedają! (*załamuje ręce*).

MAJONEZ.

Ty więc, anielska istoto! miałażbys należyć do Błażeja? serce twoje miałożby być rzucone do nóg srebrnego bałwana?... Sabino! dla twojego zbawienia zbrodnię popełnię... tu, tu w tém miejscu, kiedy przyjdzie za umówioną cenę domagać się twojej ręki, — ja jednem pchnięciem sztyleta oddam całą grożącą ci burzę.

SABINA.

Pantaleoniel... (*wyciąga do niego ręce i pada w jego objęcie*).

FRUZIA.

I cóż pan hrabia dobrego zrobi?... przyjdzie policya, osadzą w więzieniu i ślubny wianek zamieni się w kajdany na całe życie.

SABINA.

Więc ja umrę!...

FRUZIA.

Łatwo powiedzieć umrę! umrę! ale kiedy panna zdrowa, jakżeż tu naraz umierać. Jabym sobie inaczej poczęła.

MAJONEZ.

Mów! daj radę! Afryki i Azji złota i srebra kopalnie oddam ci w nagrodę.

FRUZIA.

Proszę pana hrabiego (*z figlarnym uśmiechem*), daleko to do tych kopalni?...

(Majonez wydobywa kieszkę, lecz ta jest próżna; zrywa ze siebie lornetkę z łańcuszkiem, przy którym jest stalowy kluczyk; wymuje z bocznej kieszeni pudełko z sygarami, wyciąga chustkę fularową z kieszeni i kładzie przed Fruzią na stole).

SABINA.

Mów, mów, moja Fruziu.

FRUZIA (odsuwając podarki).

Co to pani starsza zawsze rozprawia o jakiejsz acacypacyi, — czyliby nie można za pozwoleniem téj jejmości, ażeby panna Sabina z panem hrabią, dzisiaj ciemnym wieczorem, wyje-

chała do księdza biskupa, a izby było przyzwolicięj, ja już z państwem pojadę; przecież on jest dziaduniem panny Sabiny, dałby ślub i zaraz-by młodej parze obmyślił z dóbr swoich jaki folwarczek, na początek byłoby dosyć.

MAJONEZ.

Fruziu! anioł przez ciebie przemówił.

SABINA (skubie chusteczkę w rękę).

Ja nie wiem....

MAJONEZ.

Pamiętasz, Sabino! co twoja matka tutaj, tam oto w tém miejscu (*wskazuje na krzesło przy stoliku z papierami*) mówiła, dając Horci lekcję absolutnego stanowiska.

SABINA.

Ale mój dobry ojciec....

MAJONEZ.

On cię sprzedaje, aby świetność swojego imienia utrzymać.

SCENA JEDENASTA.

Ciś sami i lokaj JAN.

JAN.

Państwo proszą do ogrodu (*odchodzi*).

MAJONEZ.

Sabino! usłyszymy tam wyrok naszego rozłączenia, chwila ostatnia nadeszła.

SABINA.

Pantaleonie! mój los w twoje ręce oddaję.

(Majonez z namietnością przyciska do ust swoich rękę Sabiny, — Fruzia w dłoń klaszcze z radości.)

(Majonez i Sabina odchodzą.)

SCENA DWÓNASTA.

FRUZIA (sama).

(Zamyślona chodzi przez chwil kilka, nakoniec staje i mówi z uczuciem.)

Piórczyński mnie porzuci, utracę narzeczonego, do którego przywiązałam się szczerze; utracę los... może na zawsze pozostanę w służbie, zależną, poniewieraną; — ale wspomnienie, żem się przyczyniła do uszczęśliwienia dwojga ludzi, — to wspomnienie, ten głos méj duszy, nagrodzi wszystkie cierpienia. Oni rozumieją, że serce moje jest bez barwy, bez szlachetniejszego uczucia... a przecież ja dla nich szczęście całej mojej przyszłości poświęcam....

(odchodzi.)

SCENA TRZYNASTA.

SĘDZIA i SĘDZINA.

SĘDZIA.

Nie spodziewałem się tak łatwego nad Sabinką zwycięstwa.

SĘDZINA.

Widzisz więc, że zasady wychowania, jakie dałam Sabince, są gruntowne i wzorowe.

SĘDZIA.

Zostaw te pochwały na czas wolniejszy, teraz idź pani zrobić toaletę; Sabina niechaj weźmie tę gazową sukienkę z krótkimi rękawkami i wieniec ze złożonych róż na głowę, tak jak była u gubernatora.

SĘDZINA.

Obejdzie się bez twojej rady, jestem matką i wiem, jaki ubiór Sabince najlepiej do twarzy.
(odchodzi)

SCENA CZTERNASTA.

SĘDZIA (sam).

Rublewiczowie mają być o godzinie 7mój, ci ludzie zaczynają dobry ton pojmovać. (dzwoni)

SCENA PIĘTNASTA.

SĘDZIA i JAN lokaj.

JAN lokaj.

Co jaśnie pan rozkaże?

SĘDZIA.

Czy Piórczyński oddał szampańskie wino?

JAN.

Dwie butelki, jaśnie panie.

SĘDZIA (na stronie).

Trochę za skromnie, trzeba będzie pić temi mniejszemi kieliszkami. Rublewiczowie nie są nałogowi, ludzie lubiący zbierać pieniądze, a więc nie skorzy do kielicha, — ale jednakże przy takiej okoliczności.... Najgorzej będzie z Pigułą, syn dawnego adwokata z Piotrkowa, pije za dziesięciu, namówię go do węgierskiego. *(głośno)* Uprzątniesz balkonowy salon, światło jarzące, liberya z galonami, na godzinę 6tą żeby było wszystko gotowe.

JAN.

Dobrze, jaśnie panie. *(Sędzia odchodzi na lewo, lokaj na prawo)*

Teatr zmienia się na salon rześisto-oświetlony.

SCENA SZESNASTA.

SABINA i FRUZIA,
(obiędwie w podrózném ubraniu).SABINA
(trzymając klamkę od drzwi głównych).FRUZIA i j
(wyraza oknem kilka tłumoczków i pudełek. Sabina mimiką z talem segna się a pomieszkaniem rodziców, po-za oknem slychać uderzenie w dlonie, obiędw: uciekają przez przeciwległe drzwi).

SCENA SIEDEMNASTA.

(Sędzia wchodzi wystrojony z powagą.)

SĘDZIA (głośno do siebie).

Gdyby mi kto przed 4ma tygodniami powiedział, że ja znajdę człowieka, który mi 200,000, z procentem po 4 od sta, na lat 12 pożyczę, byłbym go za waryata poczytał, — przedzębym się spodział, że żona moja zrzecze się urojen do emancypacyi, że ogień parzyć, lód ziębić przestanie, że się cukier na pieprz, pieprz na cukier przemieni, aniżelibym uwierzył, że jest na kuli ziemskiej tak dobra i szlachetna istota jak Rublewicz! O Boże! gdyby ten człowiek był jeszcze szlachcicem!... ja nie wiem, czylibym go wyżej od Napoleona nie cenil! — A ten Błazęj! co to za pocziwa fizyonomia! jakie spojrzenie Rzymianina! co za dusza spartańska!...

a i matka, nie jest-że to wierny obraz starodawniej prostoty, cnotliwej niewiadomości? O! ona pewno z absolutnego stanowiska mężowi swojemu rogów nie przypięła. Rublewicz z pewnością twierdzić i utrzymywać może, że Błazej ani szelągami ani dukatem, ale że czystym, niewątpliwym jest rublem! Szkoda! niewysłowna szkoda, nieograniczona szkoda! że ci ludzie nie są dobrze urodzeni. (*Spoglądając na zegarek*) Już trzy kwadranse na szóstą.

SCENA OŚMNASTA.

Tento i Dr. FIGUŁA.

SĘDZIA.

Najszanowniejszy, najczcigodniejszy, najzacniejszy konsyliarzu! (*całując się.*)

Dr. FIGUŁA.

Zmienia się rzecz.

SĘDZIA (*odskoczył z przerażeniem.*)

A to hultajskie, karczemne, mydlarskie plemię! — nigdy ja ufności nie miałem.

Dr. FIGUŁA.

Sędzio! nie tak porywczo! Rublewicz, dowiedziawszy się odemnie, że Majonez po oddaniu się z domu j. w. państwa czynił rozmaite odgródki, postanowił, aby się dzisiaj ślub odbył.

SĘDZIA (*z radością.*)

Dzisiaj?...

Dr. FIGUŁA.

O godzinie 9ej przy pochodniach, w kościele katedralnym, panie dobrodzieju!... (*z większym tryumfem*) Oto jest indult! oto intercyza! którą przed ślubem podpiszecie, i dzisiaj jeszcze 200,000 sędzia Razinoski wyliczonemi sobie mieć będzie.

SĘDZIA.

Wybornie! wybornie! *wybornissime!* Jam Sabinę przygotował tylko do zaręczyn, i to z wielkim płaczem dziewczęcia, a tutaj, nie dając jej czasu do wybiegów, skończymy wszystko od razu. Przyznam ci się, konsyliarzu, arcy-mądrze uczyniono! Rublewicz ma głowę nie dla formy; ale z kądeście się tak prędko o indult postarali?

Dr. FIGUŁA.

O wpół do szóstej wyjechał Rublewicz swoją dryndulką na miasto, o kwadranse na siódmą przywiózł indult!

SĘDZIA.

— Już to Rublewiczowie, co chcą, to zrobią!

Dr. FIGUŁA.

Tu nie było czasu do tracenia, hrabia Majonez harda sztuczka.

SĘDZIA.

Mógłby nam figla wypłatać nielada; hrabowie znają się na podobnych obrotach, a w rodzinie Majonezów jest łatwość zdobywania serc panińskich, — ale i Razinoski, gdzie idzie o pożyczkę pieniędzy, czasu na próżno nie traci.

SCENA DZIEWIĘTNASTA.

Cią i SĘDZINA (zgalowana).

SĘDZINA.

Bon soir, M. le Conseiller! vous y êtes déjà! eh bien! quand est-ce que vont arriver nos amis?

SĘDZIA.

Proszę cię, Kunusiu, tylko mi dzisiaj po francuzku nie gadaj; — Rublewiczowa jest zącną osobą, po francuzku nie mówi, mogłaby ją twoja niedyskretność obrazić.

SĘDZINA.

Po sto razy panu sędziemu oświadczyłam, że te Kunusie, Marychny do garderoby stósowne, ale nie dla żony *d'un homme de notre caste*.

SĘDZIA.

Zapomniałem się, przepraszam panią sędzinę najuroczyściej, lecz nawzajem proszę, błagam, na te kilka godzin, dopóki pieniędzy do mojej

ręki nie odbiorę, bądźmy ludźmi dawnéj daty, — ściskajmy się, całujmy, kochajmy się jakoby dzieci jednego ojca; później, jak ja schwycę 200,000, kłóćcie się, drapcie, głowy sobie urywajcie, ja się tam w wasze babskie sprawy mieszać nie będę.

SĘDZINA.

Waćpan nigdy parafianinem być nie przestaniesz, — cóż znów za babskie sprawy?...
Vous êtes un impertinent.

SĘDZIA.

Mille pardons mon ange — chciałem mówić pani sędzino!

Dr. FIGUŁA.

Dajcie państwo pokój tym wszystkim zatargom i karesom. Czy pani sędzina wie o tém, że dzisiaj jeszcze ślub nastąpi?

SĘDZINA.

Jaki ślub!?

SĘDZIA.

To jest, dzisiaj Rublewicz wyliczy 200,000, i zaraz następnie jedziemy do katedralnego kościoła, gdzie córka nasza Sabinka połączoną zostanie węzłem nierozzerwanym, sakramentem małżeństwa z Błażem Rublewiczem.

SĘDZINA.

A wyprawa?! a goście! bal! tańce!

Dr. FIGUŁA.

Wszystko po ślubie, na przenosinach być może.

SĘDZIA.

Jejmość 20,000 będzie miała do dyspozycyi na wyprawę Sabiny, 3000 dla siebie.

SĘDZINA.

3000 dla mnie?! *quelle drôle d'idée, ma foi!* waćpanu się w głowie przewróciło; bierzesz 200,000 i mnie tylko 3000 z tego przeznaczasz za całe umartwienie, że córka moja robi *une mésalliance*, że ją od matczynego łona oddalam. (*Ociera suche oczy*).

Dr. FIGUŁA.

Istotnie, sędzia w tym przypadku za skąpy.

SĘDZIA.

Ale ja tylko projektowałem, — zresztą niechaj będzie 6000.

SĘDZINA.

Ja od 10,000 nie odstępę; mnie są potrzebne dwa ślafroczy z angielskiego batystu, 6 jedwabnych sukien w najświeższy desień, 2 atlasowe, 1 aksamitna, 1 korunkowa, 3 mantyle,

2 paryżanki i przynajmniej 1 cyganka, 4 kapelusze, pióra, kilka beretów, nowe kolczyki brylantowe, jedną bransoletkę z platyny, chociażby 3 sznureczki pereł, i chustek przynajmniej pół tuzina od nosa paryżkiego.

Dr. FIGUŁA.

Co znów! pani masz nos paryżki?!

SĘDZIA.

Gęba jak na wiatraku...

SĘDZINA.

Ja chcę paryżkich chustek od nosa, które płacimy po 300 złp.

SĘDZIA.

Chustka od nosa po 300 złp. jedna?!

SĘDZINA.

Tak jest! jedna kosztuje 300 złp. Prezesowa kupiła po tej cenie $\frac{1}{4}$ tuzina, żona adwokata kupiła $\frac{1}{2}$ tuzina, żona dozórcy kolei żelaznej kupiła cały tuzin; dla czegoż-bym ja, sędzina z Chłystkiewiczów Razinoska, sześciu takich chustek po 300 złp. mieć nie miała?...

Dr. FIGUŁA.

Powiedz mi, pani dobr., czy te chustki są ze siatki złotój?

SĘDZINA.

Nie ze złotój siatki, — jest to małeńki kawalek pajęczej tkanki z pokrzywki, z szerokim korunkowym szlakiem.

SĘDZIA.

I taką pajęczyną chcesz waćpani nos ucierać?! Mój ty Boże! ś. p. Chłystkiewiczowa, matka waćpani, zaszczyciała się nosem o wiele większym, jakby na urząd zrobionym, i ucie-rała go tylko płótnem swojej domowej roboty, — a od święta, od wielkiej uroczystości płótnem kolońskim.

SĘDZINA.

Z postępem wieków idą wyobrażenia.

Dr. FIGUŁA.

Ileż to za taką jedną chustkę byłoby koszul dla biednych!...

SCENA DWÓDZIESTA!

Ciś sami i PIÓRCZYŃSKI.

PIÓRCZYŃSKI (na stronie do Sędziego).

J. W. panie, potrafiłem jeszcze dostać 4 butelki szampańskiego, ale pod słowem honoru, że jutro zapłacę; racz więc j. w. pan pamiętać, abym mojego honoru nie zawstydził; można być

dzie i na drugi raz w tym miejscu pokredytować.

SĘDZIA (patetycznie).

Jutro rano przyniesiesz mi asan wszystkie rachunki od Chrześcian i Żydów, słyszy asan, wszystkie!

PIÓRCZYŃSKI.

Wiem po alfabecie na pamięć, co się komu należy:

Adolf et Comp. za musztardę i kapary złp. 260. Butler...

SĘDZIA.

Cóż mi asan chcesz dwie godziny litanią gadać! Dzisiaj ślub mojej córki, panny Sabiny, jutro płacę wszystkie drobiazgi.

PIÓRCZYŃSKI.

Dzisiaj!?... Czy być może? (na stronie) Więc i ja jutro odbiorę 6000 od pana Błażeja przereczonę nagrody; 1530 złp. zaległości od mojego pana; 1000 złp. gratyfikacyi.

SĘDZIA.

Ubierz się asan przyzwolicięj i bądź na zwołanie do przeliczenia pieniędzy, do pieczętowania worków.

PIÓRCZYŃSKI (na stronie).

Victoria! Victoria! (*liczy na palcach*).

6,000

1,730

1,000

summa 8,730

mam rozpożyczonych

na procencik

2,800

summa summarum 11,530 i Fruzia! — Będzie
dzierzawa, 4 konie, powóz! — serce mi pęknie
z radości, muszę chociaż na chwilkę pomówić
z Fruzią.

(Ochodzi.)

SĘDZIA (spogląda na zegarek).

Jeszcze 7 sekund brakuje.

SCENA DWÓDZIESTA PIERWSZA.

Zgalowani lokaje roztwierają podwoje, wtaczają się bardzo postrojeni
i uperfumowani:

RUBLEWICZOWA, RUBLEWICZ, BŁAŻEJ RUBLEWICZ, REJENT,
SZARACZKOWSKA (matka Rublewiczów), KUNEGUNDA, PETRONELA,
URSZULA.

(Sędzina biegnie i całuje Rublewiczową; Sędzia całuje Rublewicza; Piguła całuje
panny Rublewiczównę; Szaraczkowska kłania się lokajom, lokaje kłaniają się
Szaraczkowskiej. Błażej przez zapomnienie całuje Rejenta, wszyscy się kłaniają
i całują).

SĘDZIA (do Rublewicza).

Najdroższy, najukochańszy! (*całują się na
nowo*).

Dr. FIGUŁA (saciera rękę).

RUBLEWICZOWA (biorąc swoją matkę za rękę).

Prezentuję j. w. państwu matkę moję!

(Skinąwszy na córki, które wysuwają się w białych sukienkach.)

A to moje córki: Kunegunda najstarsza, Petro-
nela wśrodknia, Urszula najmłodsza.

(Kaśka z panien Rublewiczówn, za wymienieniem przez matkę swojego imienia,
robi dyga i odzywa się „dobry wieczór j. w. państwu“; — towarzystwo zasiada.)

(Na skinienie Figuły lokaje stawiają stół na środku.)

Dr. FIGUŁA (głośno, z umiarkowaniem, poważnie).

Państwo dobrodziejstwo pozwolicie, że ja,
wezwany przez WW. Rublewiczów jako przyja-
ciel ich domu (*klania się Rublewiczom, cała fa-
milia Rublewiczów dziękuje ukłonem*) i zaszczy-
cony zaufaniem jw. sędziostwa Razinoskich,
również jako przyjaciel ich domu (*sędzina się
uśmiecha, Razinoski lekko głową skinął*) w ure-
gulowaniu całego interesu tak rzecz zagajam.
(*Bardzo poważnie i nieco głośniejsz, z przestankami*)
Trzy epoki w życiu ludzkim są najważniejsze:
przyjście na świat!... połączenie się związkiem
małżeństwa!... i śmierć! *mors!* Jesteśmy w dru-
giej epoce, czyli mamy być obecnymi zameżciu
jaśnie wielmożnej sędzianki Sabiny Razinoskiej
z wielmożnym Błażem Rublewiczem. Najsza-
nowniejsi rodzice młodej pary! (*oglądają się,
szukając oczyma Sabiny*). *Dulce est lenimen la-
borum!* chwila ta nagradza wam trudy wasze,
podjęte około wychowania i ukształcenia waszych
dzieci. Święty ogień miłości zapalił swoją po-

chodnią w młodocianych sercach! Dwie wielkie rodziny (*sędzina uciera nos*) połączą się ogniwnem pokrewieństwa, a nowa trzecia rodzina, odrośl wiosny waszój! wystrzeli niezadługo zawiązkiem czwartej rodziny!

(Rublewiczowa płacze, ojcowie podają sobie dłonie; Błażej się śmieje, panny spuszczają głowę, gdy w tém odbywa się Szaraczkowska).

SZARACZKOWSKA (przez nos).

Tak bywało przed nami, tak się za nas dzieje i tak po nas będzie bywać.

BŁAŻEJ (całuje babkę w rękę).

Dr. FIGUŁA (w dalszym ciągu).

Dla nadania kierunku dalszemu kierunkowi należy przede wszystkim, rozsądnie działając, założyć węgielną podstawę do zaspokojenia żądań i wymagań świata, to jest, opatrzyć przyszły los młodych państwa; — z tych przyczyn i powodów wielmożny rejent odczytać nam raczy układ zawarty pomiędzy j. w. sędzią Razinoskim a w. Rublewiczem.

REJENT (kładzie na nos okulary).

„Przed rejentem kancelaryi L. stawili się osobiście, rejentowi dostatecznie znani, zdrowi na umyśle i na ciele.“

Dr. FIGUŁA.

Za zdrowie to już ręczę.

REJENT (w dalszym ciągu).

„Do czynności prawnych przeszkód żadnych nie mający, w obec niżej wyrażonych świadków: j. w. Spirydyon, Hiacynty, Anzelm, trzech imion Paproć Razinoski, dziedzic dóbr Topolina z przyległościami, sędzia pokoju, i wielmożny Mateusz Grzegórz, dwóch imion Rublewicz, dziedzic dóbr Myszkowa z przyległościami, obydwaj w Warszawie prawne mieszkanie obierający, i następującej osnowy akt niewzruszony i nieodwołalny zawierają!

§. 1. JW. Spirydyon Razinoski obowiązuje się swojej córce Sabinie, skoro wyjdzie za mąż za Błażeja Rublewicza, syna WW. Mateusza Grzegorza i Elżbiety z Szaraczkowskich Rublewiczów, zaraz po ślubie, najdalej w 14 dni, *pro primo* dać wyprawę garderoby żeńskiej, odpowiednią jej stanowi; *pro 2*, letnie pomieszkanie, zwane chińską altaną, umieszczone w południowo-zachodniej stronie angielskiego ogrodu w Topolinie, przeznaczyć na rezydencją dla młodych państwa, o ile-by ciż w Myszkowie za Suwałkami przebywać nie chcieli; *pro 3*, zapisać na dobrach Topolinie sumę 300,000 złp. bez procentu, młodym Rublewiczom przypaść mającą, po najdłuższem życiu obojga j. w. sędziostwa Razinoskich.“ (*Rejent uciera nos*).

SĘDZINA (do Rublewiczów).

Jakie to ofiary czynimy dla tych dzieci.

(Rublewiczowa całuje ją w ramię.)

REJENT (w dalszym ciągu).

§. 2. W. Mateusz Grzegorz Rublewicz zaś, przy podpisie tegoż aktu, wypożycza i wyliczy do rąk j. w. sędziego Razinoskiego sumę 200,000 złp."

Dr. FIGUŁA (do Rublewicza).

Zysk 100,000 wyraźny.

RUBLEWICZ (do Figuły).

Ale czy się ta suma zmieści na Topolinie?...

Dr. FIGUŁA.

Gleba pszenna, łąki, pastwiska, okiem nie dojrzysz, (na sironie) bo las sąsiedzki zasłania.

REJENT (w dalszym ciągu).

"Zastrzegając sobie jednakże 4 procent od sta, z dołu opłacać się mający w dniu 24 czerwca każdego roku, ubezpieczając tę sumę na dobrach Topolinie, z prawem wypowiedzenia za lat 12 w razie rozwodu, bezdzietności, lub śmierci...."

Dr. FIGUŁA.

To jest tylko forma; już ja, będąc waszym domowym lekarzem, śmierci do państwa młodych nie dopuszczę. Reszta jest zwyczajnem zakończeniem: „Nakazujemy komornikom, sile zbrojnej etc.“ rzeczy wiadome. Raccie podpi-

sać, bo nie można się ociągać, na godzinę 9tą oświetlony będzie kościół, duchowieństwo czeka.

(Sędzia i Rublewicz robią ceregielę w pierwszeństwie podpisu, tą razą Sędzia zwyciężył, Rublewicz podpisuje pierwszy, następnie Razinoski.)

RUBLEWICZ.

Akuratność, panie sędzio, jest zasadą mojego życia.

(Obraca się na Błażeja, Błażej wybiega i wraca natychmiast z Maciejem, parobkiem kamienicznym pana Rublewicza, obydwa dźwigają worki.)

MACIEJ.

Alem się zapocił, zanim je tu przyniosłem.

SĘDZIA

(szuka po kieszonkach; ale nie mogąc nic znaleźć, mówi do Dr. Figuły):

Konsyliarzu, daj tam temu poczciewcowi.

SĘDZIA (dawoni).

JAN.

Jestem, jaśnie panie.

SĘDZIA.

Zawołaj sekretarza Piórczynskiego.

(Jan wychodzi i wraca zaraz z Piórczynskim.)

(Liczą worki; Rublewicz i Błażej wyciągają ze wszystkich kieszeni bilety bankowe; Rublewiczowa i córki wyjmują z po-zasadra listy zastawne; Szaraczowska rozpina swój szlafroczek i także oddaje kilka papierów.)

SĘDZINA (osługuje Rublewiczową).

Ziściły się nasze najgorętsze życzenia.

SĘDZIA (do Rublewicza).

Więc *tandem* następuje najdroższy dla serc naszych związek!

Lokaj JAN.

Z kościoła dali znać, że wszystko gotowe.

RUBLEWICZOWA (do Sędziny).

Sabinka zapewne już ukończyła ślubne ubranie.

SĘDZINA.

Przez skromność czeka na mój rozkaz, — o! bo trzeba drogiej pani wiedzieć, że najstarsze wychowanie mojej córki zasadzałam na skromności, na moralności, na posłuszeństwie dla rodziców, — jedynie co do męża wskazałam jej stanowisko...

SĘDZIA.

Kochanie, przyprowadź Sabinkę.

(Do Piguły na stronie.)

Będzie trochę płaczu.

(Sędzina odchodzi.)

Dr. FIGUŁA (do Sędziego i do Rublewicza).

Finis coronat opus, podajcie sobie dłonie i uściskajcie się raz jeszcze.

(Sciaskają się serdecznie, w tym wpada Sędzina).

SCENA OSTATNIA.

SĘDZINA

(z najwyższym przejęciem, z różowym listem w ręku).

Majonez! Majonez! moje dziecko! moja Sabinka!

(Wszyscy w największym przejęciu obiegają do koła. Piguła odbiera list i czyta głośno).

Dr. FIGUŁA.

Chère Maman!

Serce moje, jako moje wyłączną własność, od lat 3ch oddałam Pantaleonowi, hrabiemu Majonez. To samo serce Błażeja Rublewicza cierpieć nie mogło. Chcieliście mnie sprzedać dla waszych osobistych widoków, bez względu na moje uczucia. Nagliliście, — odjeżdżam z hrabią Majonezem, opieram się woli Waszej na zasadzie praw emancypacji, której prawda zaszczerpiłaś, Mamo, w sercu Twój przywiązanej córki.

Sabina.

P. S. Ojcu i Horci moje uściskienia, — Fruzia mnie do mojego ślubu nie odstąpi.

SĘDZIA (z całego gardła).

Czyn kryminalny! gwałt! porwanie!

RUBLEWICZ.

Moje pieniądze!

RUBLEWICZOWA (wrzeszczy).

Mężu! nasze pieniądze!

BLAŻEJ.

Nasze pieniądze!

SZARACZKOWSKA, KUNEGUNDA, PETRONELA, URSZULA

(wrzeszczą, co głosu stają).

Pieniądze! pieniądze!

SĘDZIA.

Ściągać ich będę! Piórczyński! Józefie! Franciszku! Józefie!

Koni wierzchowych! pocztowe zaprzęgi!

(Słuchający wnoszą salopy, płaszcze i kapelusze, nieład najwyższy; — Rublewierze szarpia Sędziego i wrzeszczą: pieniądze! pieniądze!)

(Sędzia w obliźnieniu kładzie na swoją głowę kapelusz żony, Sędzina bierze kapelusz męża, mdleje i pada na ręce Piguły. Wszyscy otaczają Sędzinę w półkole.)

SĘDZIA

(stawiając w środku, nad głową semdlonej żony).

Oto są skutki emancypacji kobiety!

Dr. FIGUŁA.

Ze stanowiska absolutnego.

Zasłona spada.

WEKSEL.

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH.



WEKSEL

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH



WEKSEL

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH.

POPRIEDZONA LISTEM DO REDAKTORA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ.

Mości Redaktorze!

Bacząc, iż uwagi nad przemysłem krajowym, w jakiegokolwiek objawione barwie, zawsze są godne wiadomości publicznej zwłaszcza u nas, gdzie popęd spekulacyjny tak rzadko spostrzeżać się daje, a więc wyjaśnienia i podniety potrzebuje; wiedząc, ile w. pan dobrodziej szczerze pragniesz, aby Biblioteka warszawska, obok dążeń moralno-naukowej, i wpływu materialnej korzyści dla kraju pozbawioną nie była, czego jest dowodem umieszczenie wybornego artykułu „O przemyśle“ przez czcigodnego Aleksandra Kurca; rozbiórów znakomitego dzieła nader szanownego Augusta Cieszkowskiego „*Du crédit et de la circulation*“; kilka trafnych spostrzeżeń, rolnictwa dotyczących, przez wielce za-

cnego Konstantego Wolickiego i innych; — od dawna pragnąłem i ja skreślić obraz cyrkulacyi pieniężnej w Warszawie i w chwili, kiedym się zastanawiał, jak wiele winni jesteśmy niezmordowanym w téj mierze zabiegom pewnej klasy ludzi, co się wypożyczaniem pieniędzy z niezrównanym trudni zapalem, co całą myśl, całe swoje jestestwo wyłącznie tylko temu celowi poświęca, — w chwili, mówię, kiedym to wielkie obywatelskie uczucie oceniał, nasunęły mi się pod rękę listy Edgara, które, odczytawszy przed wykończeniem mojej pracy, przesyłam je w. panu dobr. do ogłoszenia w Bibliotece warszawskiej. Nie są to oddzielne traktaty o samej cyrkulacyi pieniężnej, nie są to rozbiory przemysłane; wszakże obok salonowych uniesień dobrze urodzonego młodzieńca znajdziesz, panie, bezpośrednie ustępy finansowe i wiarogodne świadectwo, bo z życia rzeczywistego, o obiegu kapitałów, na które w kraju niezamożnym w gotowiznę nie powinniśmy być obojętnymi. Przenikliwy badacz znajdzie bezwątpienia w tych na pozór drobnych kolejach Edgara wątek do ściślejszych spostrzeżeń, jaką drogą przechodzi u nas część majątków prywatnych, które są razem i majątkiem całego kraju. Listy Edgara chrzczę tytułem:

WEKSEL

tragedya w pięciu aktach.

Krzykną zapewne krytycy, że tragedia, w listach zawarta, jest urojeniem — z prawidłami dramatyczności żadnego związku niemającem, zwłaszcza, że tam nikt nie umiera, nie ginie... Niechajżeż się więc panowie krytycy zbytnie nie srożą: tym tytułem chciałem tylko oznaczyć tragiczność skutków wekslowych, a że nikt śmiercią ciała nie ginie, toćże i u starożytnych Greków, od których wyraz ten pochodzi, do wyrazu tragedia nie łączyli dzisiejszego wyobrażenia, i ich tragedye kończyły się nieraz pocieszenie; — ale jeżeli będą bardzo wrzeszczący, można im pokazać i trupa, to jest trupa majątku Edgara; — zresztą z krytykami nie trudno mi będzie oblatwić się. W. p. dobr. zaś nie odmieniaj tytułu, za którym proszę; — jakoś ładnie będzie wyglądać na okładce Biblioteki warszawskiej; „Weksel, tragedia w pięciu aktach!...”

W ogóle mój weksel uważany być winien ze stanowiska *manifestującego się na zewnątrz bez zamknięcia się* w „Ich“*) — w inném miej-

*) Zamknij się w „Ich“, manifestuj się na zewnątrz, wyrzekł do mnie niedawno z Berlina przybyły młodzieniaszek, którego przez półrocze niespełna raz na tydzień brał lekcye *prywatne filozofii i nauki wyższego wyśłowienia się*, obecnie przedmiotów bardzo poszukiwanych.

Powierszowne zaczerpnięcie najrozmaitszych wiadomości bez

scu bardzo głębokich uwag, ale to co się nazywa *głębokich*, poczynić nie omieszkamy.

Na teraz miło mi ponowić prośbę, iżbyś się w. pan dobrodziej zapewnić raczył o mém dla jego osoby wysokiem poważaniu i niezłomnej życzliwości.

Warszawa, 4 — 9 — 42.

List I.

Kazimierzu! sercu mojemu drogi! najmilszy, najukochańszy Kaziu!

Nie wiem, któremu wrażeniu mam dać pierwszeństwo; nie wiem, jak uporządkować tłoczące się myśli.

Drugiego stycznia, o godzinie 6. wieczorem, pocztowemi końmi stanąłem w stolicy; mdłe światła, o śnieżystą ulic powierzchnią odbite, nadawały murom uroczystą postawę; lud snuł się w milczeniu, karety z gorejącemi kryształami pełnym biegiem anglików, krzyżując się w rozmaitych kierunkach, i w cwał lecący rój sanek, zbudziły moje ciekawość, dokądby tak spieszenie dążyli. — W hotelu dopiero dowiedziałem się, że przejeżdżający aktorowie francuzcy pierwszy raz grają.

doskonałego uspoasobienia się w którejkolwiek, jednej, na wyraźny pożytek dla kraju służyć należnej, — jest to tém zamknięciem się, manifestującym się na zewnątrz. Żałuję, iż nie mam syna, a chęć zamykania się w „Ich“ zarazbym go manifestował na zewnątrz.

Ledwom rąk nie połamał z pospiechu, kładąc je w obcisłe tużurka rękawy; — wybiegam bez kapelusza, lecz 12 stopni dokuczliwego chłodu ostrzegły mnie dość wcześniej o mojem roztargnieniu: — wracam, byłbym był i pieniądze, a co najgłówniejsza, lornety i rękawiczek zapomniał. Już rozważniej wybiegam powtórnie; wystaw sobie moję radość, nie tylko na francuzkie trafiłem widowisko, ale na domiar szczęścia byłem jeszcze i na Sylfidzie. W sąsiedniej łoży kilku nieznanych mi młodych ludzi śmieszne a złośliwe czynili uwagi nad złym wyborem sztuki, nad niedokładnością gry francuzkich gości. Jest to obmierzłe uprzedzenie za wszystkiem co *nasze*, błąd niewykorzeniony — nie rozumiem, jak można porównać teatr polski z francuzkim.

Słowianofile radziby może starodawną gburowatość na scenę wprowadzić. Nie obcém ci jest moje uwielbienie dla dramatyczności, ale żądam ją mieć kwiatem dowcipnych uczuć i to właśnie, co dzisiaj znalazłem. — Moi sąsiedzi zarzucali mnie przyzwoite ekwiwoki, jakieniami sztuka napełniona była, — dziwny zarzut! — Nie dośćże już do znużenia piszą o filozofii, o jakiejś potrzebie wyższych pojęć — ale każą się jeszcze na teatrze czepiać swoich skrzywionych o przeznaczeniu życia ludzkiego wyobrażeń. Na przekór tym moralistom umówilismy się pomiędzy *nam*i, iżby ciągle dawać *bravo*: —

ja zaproponowałem składkę i istotnie projekt mój przyjęty został; — jeden tylko pułkownik rubasznie odrzekł, iż nie myśli sandomirskiej sprzedawać pszenicy na podatki dla cudzoziemskich komedyantów. — *Quelle ignorance!* Ale on też bardzo źle widziany i nigdzie nie bywa, — mówią, że to jest człowiek niskiego pochodzenia. — *La canaille ne pourra jamais s'approprier ces manieres qui distinguent la caste des nobles.*“

Sylfida rozdrażniła mnie do szaleństwa — sen mój téj nocy — o nie! to nie był sen — to była chwila aniołów — o więcej niż aniołów!... Jeżeli w raju ma być rzeczywiście nagroda za trudy ziemskie, bez wątpienia jedynym widokiem — jest — musi być — balet.

Nazajutrz po moim przyjeździe kazałem przywołać krawca i fryziera. Stawili się niebawem. — Trzy garnitury balowe przyrzekł usłużny rzemieślnik w 24 godzinach ukończyć; — hiszpański płaszczyk, rajtrok i aksamitny paletot dopiero za dni ośm. Fryzjer zaś, prawdziwy artysta! — zobowiązał się dwa razy na dzień, rano i wieczorem, czesać, zwijać, palić i układać moje włosy wedle najświeższej mody. Adolf, Julian, twój sąsiad generałowicz i trzej bracia Kurzynowscy stoją w tym samym co i ja hotelu — odwiedzili mnie. — Dano śniadanie. Jak

honor kocham, Mary*) to prawdziwy artysta! jego majonez nie ma nic równego w świecie, tylko że jedząc na czczo majonez a potem lody, dostałem żołądkowej *opressyi*, co mi dokuczliwie przy faraonie przeszkadzało. — O 3 z północy wszyscy, oprócz Juliana, pojechali *incognito* na przyjacielski bal — na Miodową ulicę. — Ja zaś w wiejskiej podówczas prostocie porachowawszy 30 butelek po szampanie i pozostałą gotowiznę -- tylko z 18 dukatami udałem się, nie bez pomniejszego kłopotu na spoczynek. Około południa obudził mnie Andrzej, zawiadamiając, iż krawiec przyniósł suknie. — Przymierzyłem natychmiast: — jak mamę kocham, takięj talii nie widziałeś przez życie — wszystko jakby uła! — wyglądam jak belwederski Apollo. — Najbardziej się jednakże cieszę z rajtroka — oh Boże! ty nawet nie wiesz, co to jest rajtrok! *Imaginez*, frak niemieckiego doktora z 17go stolecia, ale *szezy* o wiele szersze od doktorskich. Rajtroki bywają trojakie: *à la Voltaire*, *à l'Elephant*, i *à l'absurde* — ostatnie są najmodniejsze: pod szyją winny być spięte na jeden, najwięcej na dwa ogromne guziki, — pierś zostawiasz odsłonioną, — a im dalej tém więcej rozwarty, — dopiero poniżej bioder *szezy* zbiegając się ku kolanom, tworzą

*) Restaurator i bezwątpienia najwykwintniejszy gastronom francuski w Warszawie.

niejako tużurek. Cały sens w tém, że to nie jest właściwie ani frak ani tużurek. Szczupłej budowy mały Staś *diavolico* wygląda w rajt-roku — przysiągłbyś, że chodzi w pożyczanej starszego brata sukience; ale bo też jego jest *à l'Elephant* z guzikami na około, z kołnierzem węższym od zwyczajnej białej tasiemki, a wiesz, jak cienką i długą ma szyjkę — główkę jak melonek — zgoła, u góry dziecko; — od ramion dopiero szerzawa niezwykajna, po kostki, trochę defiguruje, te *à la Voltaire* mają więcej kroju i nie tyle długie. Ważną jest rzeczą kolor sukna — jam kazał sobie zrobić blado-karnarkowy.

Wyjeżdżając z wizytami, upomniałem Andrzeja, abym za powrotem zastał Szymsię, faktora mojej ciotki, który w szkołach jeszcze ratował mnie w potrzebie.

W dwóch tylko miejscach nie przyjęto mnie, bo panie robiły toaletę. Wszędzie czyniono mi zarzuty, iż nie byłem na Sylwester-Abend, — wszyscy byli mi radzi niezwykajnie. — Hrabina Aldona podstarzała się na dobre, ale nie wiedząc, czyli nie chcąc wiedzieć o tém, mizdrzy się po dawnemu; jej córeczki wyrosły nieszpętnie, tylko Ifigenia *nie jest dobrze* z tą *manierą* smutku po śmierci Alfreda; — za to Kocia wygląda jak bóstwo. U prezesowej mówiono wiele o owym wczorajszym przyjacielskim balu na Miodowej ulicy, *podobno wielkie porobiły się*

awantury. *) — Nie chcieli wierzyć, abym o niem nie wiedział. — Horacya zbladła, wycienkła, usta jej zsiniały, ciągle rozmawia o nowej filozofii, — sawantka, najkróćiej u niej bawiłem. Jenerał z Wołynia jeszcze nie przyjechał, żona nie bardzo tęskni, powrócił bowiem kuzynek z Berlina — zastałem go u niej. Przywitaliśmy się po dawnemu — ładny chłopiec, ale mu się w głowie przewróciło. — Wystaw sobie — syna swojego ekonomia wysłać chce za granicę dla tego, że się dobrze uczy w szkołach. Jenerałowa naśmiała się z niego do woli, ja zaś twierdząc, iż to wszystko wyszumi, jak z nami kilka tygodni zabawi. Dowiedziałem się u Julianów, iż Stefcia dała koszyk naszemu pocziwemu Adasiowi — dla tego, że grywa w karty. Babska to sprawka — kasztelanowa mści się, że się z jej córką zenić nie chciał.

W powrocie z wizyt wstąpiłem do litografii, bom u Juliana uważał, że teraz na wszystkich biletach wizytowych jest u góry umieszczony herb. Najszcześliwszém dla mnie zdarzeniem mieli już gotowe bilety i z moim herbem; potrzeba było u dołu wytłoczyć moje imię i nazwisko — ale czy francuzkiemi czy polskimi literami — maczkiem czy wielkiem pismem — na to się *zdecydować* nie mogłem. Właściciel

*) Były to bale w pałacu Pacy, głośne z ohydnej niemoralności.

litografii zapewnił mnie, że maczkiem jest najmocniej; ale jakiś obecny, pięknie ubrany jego-mość rzucił z niechcenia: „Ja się zaś mojego nazwiska nie wstydzę“ — i temi kilku wyrazami wbił mi klin w głowę nie lada; — maczek jest modny — swoje nazwisko umieszczać nieczytelnie, takż mi się nie zdawało — stryj szambelan mógłby mi wiaść za złe, ile że on zawsze wielkimi literami podpisywać się zwykł. — Długo się biłem z myślami — w żaden sposób nie wiedziałem, jak tę rzecz ważną rozstrzygnąć, kiedy litograf (już to Niemcom na konceptcie nie zbywa) jak gdyby cudem jakim wpadł na ten pomysł, iżby imię wyrysować maczkiem francuzkim, nazwisko zaś wielkimi literami gotyckimi. — Ledwie pocziwca nie ucałował z radości, — co on też musiał zmiarkować, bo położył cenę nader wysoką, — tłumacząc się, że jeszcze nigdy maczku z gotykiem na jednym bilecie nie rysował, że ja pierwszy będę miał tak wyrozumowane bilety, że do téj pracy dwóch musi użyć rysowników: Francuza do maczku, Niemca do gotyku. Oni pękną z zadości, jak moje bilety zobaczą! maczek i gotyk! — ta słodka myśl towarzyszyła mi do hotelu. — Szynsio, pokorne żydzisko, czekał jak pies przy drzwiach, — rozplakał się, gdy mnie zobaczył. — Dałem mu za to kilka dukatów. — Kazimierzu! co to są nasi faktorzy! obejrzał te dukaty, i nie wiedząc, com ja wczoraj

raj robił, z uśmiechem wyrzekł: „Jaśnie wielmożny pan musiał grać w karty“ — hultaj! jaki to dowcip! istotnie były bardzo oberżnięte. Adolf szczególniejszą ma rachubę, że nas zawsze takimi kulfonami opatrzy, a dobre wyłowi. — „Słuchaj no! potrzebuję pieniędzy!“ — Na te moje słowa nizko się Szynsio pokłonił i wyszedł. — Za pół godziny wraca wiodąc za sobą żydka w atlasie. — Wystaw sobie, na drukowany świstek, który u dołu i z boku podpisałem, odrachował mi 800 dukatów bez najmniejszych zatargów, nie tak jak na wsi, gdzie godzinę całą potrzeba gadać i rozprawiać, zanim ci tysiąc złotych polskich na wełnę zaliczą. — Wprawdzie za 800 zobowiązałem mu się 1200 zapłacić — ale też biedne żydzisko, on nie ma ani wiosek ani lasów — i procent to cały jego zarobek. — Nie pojmuję, co wy macie przeciwko żydom: uczciwi, potulni, na każde skinienie usłużni, i od owego czasu do téj chwili, gdy to piszę, już 3ci raz ten sam atlasowy dostarczył mi pieniędzy, bo wciągnąłem się w grę. — Ale mniejsza o przegraną; powiem ci, jak z Andzią zrobiłem znajomość; — prawda! jam ci jeszcze o Andzi ani słowa nie pisał! — Ale nie — tę całą intrygę opiszę ci później; dzisiaj jestem zanadto roztargniony. Kupiłem prosto z Wiednia sprowadzony karykiel; moje 4ry cugowe konie, które tu wczoraj przyszły, nie z wielkim, bo tylko z 100

dukatów dodatkiem, zamieniłem na dwa meklembureczyki, liberyą sprawilem *moim ludziom* nową. — Szynsio nie może nastarczyć posługą, — wczoraj najał dla Andzi piękny na ustroju *apartament*, i do jutra obiecał mi się wyśtarac o bliższą wiadomość przeszłości tego dziewczęcia. — Bal u Julianów był świetny — powróciłem do domu dopiero o 7 rano, a już o 1szej potrzeba spieszyć na tańczące śniadanie u hrabiny Aldony. — W tym tygodniu jeszcze mamy pięć *soirées*, dwa wielkie bale i piknik — a dzisiaj już środa; nie wiem, jak się rozedrzyć. — O jak słodko płyną tu chwile! urok, zadowolenie namiętności, rozkosz i nadzwyczajne wypadki ścigają się na przemian; całe moje jestestwo otoczone powabem czarodziejskim ułudnych wrażeń — łódka młodości umajona, kwiatem szczęścia — olśniona blaskiem ponęt, pędem strzały omija krótkie godziny — raj ziemski stoi otworem, — a tylko niewiadomość prostaka, upór spleśniałych dumañ starca, obojętnemi być mogą na tyle czarodziejstw jedynej w świecie Warszawy. — Najświetniejszy poeta, najśmielszy malarz, najwznioślejszy powieściopisarz, słaby tylko i nikczemny mogą ci dać zarys. — Kazimierzu! to się nie da wyrazić. *Kazimierzu! czuję, ach czuję, że jestem do wyższej przeznaczony sfery....* Ubolewam, żeś ty się na wsi zagrzebał. — Doniósł mi wczoraj Rzymkiewicz, że u mnie owce

wypadają; jak jesteś łaskaw, zajrzyj do Błędocina i powiedz mu, niechaj mi z swojemi wolami i owcami nad głową nie piszczy: *ja się chcę bawić*, a on się wziął z nowinami ni w pięć ni w dziewięć. — Płacę mu 1000 złp., jest komisarzem, niechajże się kłopotuje a mnie niechaj da święty pokój, jeżeli mu u mnie słuźba miła.

Twoim szanownym rodzicom *mes compliments. Adieu mon chère, au plaisir de vous revoir.*

Tout-à-vous.

Edgar.

List II.

Warszawa dnia 25 lutego.

Kochany Kaziu!

Może już i pod twoję strzechę stugębna wieść doszła o awanturze, jaką miałem z Alfonsem. Piknik, o którym ci w moim liście z dnia 19 stycznia wspomniałem, odłożony został z wiele bardzo ważnych przyczyn na 16 lutego. Było nas ośmiu gospodarzy; mnie z Alfonsem przeznaczono uczynić wybór miejsca i dekoracyą sali. Ponieważ piknik ten miał być oddzielnie i wyłącznie złożony *d'une*

société choisie, postanowiliśmy, aby się odbył za miastem. Dwa dni jeździłem upatrując stosownego i liczbie gości odpowiedniego miejsca; — należało wybrać *une maison peu commune*. Otóż więc, niedaleko cmentarza, którego wspomnienie tyle cię rozrzewnia, jest kilka kabanek w posiadaniu Niemca, strojnych oranżeryą i małym ogródkiem. Alfons zgodził się ze mną, że to będzie *une maison peu commune*; ale gdym się różnił z nim w zdaniu co do upięcia festonów na sali a nadto, gdym się upierał, aby zamiast rzeszystych illuminacyi tylko słabe światło w kolorowych lampach girlandami uwieńczony wchód zdobiło, on, moim dobrym gustem zawstydzony, twierdził, że girlandy i kolorowe światło i moje gotyckie litery na wizytowych biletach niemieckiego pochodzenia dowodzą. Naturalnie odjechałem natychmiast; — Adolf był moim sekundantem. Wrzawa zrobiła się w mieście, — przez trzy tygodnie o niczem więcej nie mówiono, jak o tej awanturze. — Wdały się kobiety — i rozumiem, że się to stało przez zabiegi matki Alfonsa; — prezesowa, Aldona, generałowa i radczyni Emma, wzięły na siebie rzecz tę załatwić. Słusznie ktoś powiedział:

Mimo płci naszej wszystkie zalety,
My rządzą światem, a nami kobiety.

U Aldony musieliśmy sobie zgodne podać dłonie: — Alfons odwołał twierdzenie, jako-

bym z niemieckiej miał pochodzić rodziny, — jam dał słowo honoru, że wyrazem „*glupi*“ obrazić go nie chciałem. — Wypadało mi więc dać dla młodzieży śniadanie. — Od jedenastej rano do czwartej z południa na drugi dzień, a więc przez 29 godzin, trwało moje poczęstne. Kaziu! za same ostrzygi zapłaciłem 1800 złp., wina szampańskiego wyszło 400 butelek; — ile się należy w restauracyi, nie wiem; ale co tylko było najdroższego, wszystkiego Francuz dostarczył. Powszechnie mówią, że takiego śniadania kawalerskiego od czasów księcia Józefa nie pamięta Warszawa.

Kiedy wspomnę, jak to nasi rodzice skąpią nam dochodów na uprzyjemnienie życia, tężeje ze złości i, gdyby nie mój Szymsio, byłbym w nielada ambarasie; — moja gotowizna ograniczała się przy zaczęciu tej awantury na stu dukatach niespełna, Szymsio w mgnieniu oka wystarał się o pieniądze; — prawda, że mnie tą razą nielitościwie procentem obłożyli, ale kiedyż mam tracić, jeżeli nie w młodości! — Zawsze Szymsio jest moim prawdziwym dobroczyńcą i o małym nie powiedział — przyjacielem.

Panuje tu jakaś pismomania i należy do dobrego tonu umieścić w którémkolwiek piśmie peryodycznym jakiś poważny artykuł. O ile to wbrew mojemu przekonaniu, o tyle wyłączyć się od tej mody nie mogę; przy pierwszej więc

chwili wolnego czasu rozpiszę się nad zasługami, nad nieodzowną potrzebą faktorów, dowiodę, że oni tylko nadają obieg gotowiznie, że oni.... to jest, w tym rodzaju rad-bym coś napisać — ty mnie rozumiesz, i jeśli ci coś podobnego przyszło na myśl, — opracuj i przyslij mi, bo ja jestem niecierpliwy do tych piśmiennych *exercycyi*. Kaziu! może masz jakie wiersze swojej roboty, poezya.... Horacya mnie ciągle poetą nazywa, — zrobiłbyś mi wielką usługę. Proszę cię także, każ za odebraniem tego listu, aby Rzymkiewicz do ciebie przyjechał; powiedz mu, że pod utratą służby rozkazuję mu, 1) aby resztę pszenicy omłócił, chociaż najemnikiem, i aby ją zaraz sprzedał — 2) drzewo niechaj najętami furami odstawia do Wisły, bo mnie Reszel przypozwał o 1000 sosen, które mu przed trzema laty sprzedałem — 3) pieniądze za pszenicę i za skórki z owiec*) izby najdalej w 8 dniach odesłał. Opłatę podatków niechaj wstrzyma po mego powrotu.

Kaziu! tysiące dałbym za to, gdybym cię do Warszawy sprowadzić mógł; jestem bowiem w trakcie sprzedaży Błędocina a nie wiem, jak moje matkę nakłonić, aby mi dożywocie ustąpiła. Łudzę ją, że się z Horacyą ożenię —

*) Nie masz tego złego, coby na dobre nie wyszło. Owce kupią się później, — tymczasem Edgarek rad, że za skórki coś na karnawał dostanie.

(ale! ale! wiesz, że się rozstał z Andzią — waryat dziewczyna pożyczyla u Szymsia na moje konto 200 dukatów, — zapłaciłem ale i kwita z tak drogiej przyjaźni) — chociaż wprawdzie nie myślę o tém, miła mi jeszcze swoboda, — ważny hymen na sędziwe lata odłożę. O gdybyś tu chociaż na trzy dni mógł przyjechać! — Należy mi koniecznie coś w moich interesach uczynić. — O wiem! wiem, jak cię zdobędę. — Oto Tadeusz — twój szkolny przyjaciel — wynalazł jakiś rękopism gminnych a po waszem ludowych pieśni z XV stulecia. Złapałem Kazia; widzę, jak wytrzymasz oczy, — jak pożerasz te pieśni; ja tymczasem pójde na obiad do Francuza.

Czekam Cię, Kaziu! do widzenia. *Tout à vous.*

Edgar.

P. S. Jeżelibyś na tę wycieczkę do Warszawy nie miał mieć pieniędzy, wówczas spuść się na mojego Szymsia, on nas tu wszystkich ratuje. Potrzeba o tym żydku pomyśleć; — sądzę, że należałoby zrobić dla niego składkę.

List III.

Warszawa 15 marca.

Kazimierzu!

Miliony gwiazd zawieszone w powietrzu, światło srebrnego księżyca, wspaniały bieg złoto-
tego słońca — ogrom morza, gór olbrzymich
szczyty, wulkaniczne łono ziemi, najcudniej-
szym kobiercem zasłane łąki i pola, a wśród
nich rój zwierząt i nad niemi panujący czło-
wiek: — zaiste, to wszystko napelnia cię po-
dziwieniem i kornością dla Stwórcy wszech-
rzeczy; — ale kiedy na twojem sercu, na two-
jój duszy, spocznie spojrzenie niepokalanéj,
wdziękami pierwszej młodości zdobnéj dziewczicy,
gdy to spojrzenie przez twoję krew do twojój
myśli dobieży, — o jakże w ówczas wielką jest
twoja wdzięczność dla Boga, że zesłał anioła
na twoje zbawienie, że w twojój piersi nowe
zapalił życie. . . . — Kazimierzu! ty nie znasz
Klotyldy! — o! wszystko, co najszczerzejsze
przyrodzenie wypieszczoném technieniem kiedy-
kolwiek świata przyniosło — to wszystko, co
ci w najbogatszych marzeniach lotna wyobra-
żnia stworzyła, niknie przed pięknoscią Kło-
tyldy, a cała jej piękność, cała na jej uroczej
postaci rozlana niebiańska wabność, czémżeż

jest w porównaniu z jej jednym szczęśliwiącém
Cię, życzliwości uśmiechem; — a ten uśmiech
czémżeż jest jeszcze w porównaniu z tkliwém
jej ócz spojrzeniem? — Kazimierzu! ja tego
określić, ja tego wysławić nie jestem zdolny, —
każde porównanie będzie ubliżeniem potę-
dze *) Klotyldy, będzie znieważeniem wielkiego
obrazu.

Poznałem ją u radczyni Emmy. — Od 3
dni ścigam ją wszędzie, naprzeciw jej okien
nająłem pomieszkanie. Ale czyż uwierzysz, że
to dało powód moim wierzyicielom do najnik-
czemniejszego mniemania, jakoby przed nie-
mi się chronił? — W ogólności rzecz dziwna, —
motłoch ten, który biegł z pożyczką na każde
moje skinienie, który się płaszczył przed mo-
jemi stopy, dzisiaj, — chociaż jeszcze termina
wypłaty nie nadeszły, — podnosi łeb do góry
i śmiało zaziera mi w oczy; — jakaś karcze-
mna poufałość rośnie jak na drożdżach, — od-
wiedzają mnie bez pozwolenia, rozsiadają się
po krzesłach, — przepytują moich służących,
czyli się nie wybieram na wieś, — a wczoraj
Szynsio — na Senatorskiej ulicy, wśród dnia
jasnego, z nakrytą głową, — zapytał mi się,

*) Przychodząc panu Edgarowi w pomoc, czyliby nie mo-
żna następującej proporcji arytmetycznej ułożyć: — jak się ma
małeńka objętość drobnego kolibra do słonia, tak się ma potęgą,
która jednem skrzydłem przeszłość a drugim przyszłość potrąca
do X. — X więc byłoby potęgą spojrzenia Klotyldy.

„Paniczu! jak to będzie z jutrzejszym terminem?“ — Bezprzykładne zuchwalstwo i śmiałość! Kazimierzu! poznaję, żem się omylił na tych lichwiarzach — oni mi dzisiaj solą w oczach; gdzie się tylko obrócę, zachodzą drogę, przypominając termin. Wyraźne skaranie Boskie; a toć-że gdyby nie to ich natręstwo, byłbym najszcześliwszym z ludzi. — Klotylda jest mi wzajemną, ona mnie kocha coś, kiedy te wekslowe napaści zatruwają mi każdą chwilę. Matka moja mimo skończonych lat 50 idzie za męża, za byłego podporucznika od ułanów, — diabli stworzyli ułanów! — o odstąpieniu więc dożywocia i mowy już nie ma. Wiele w tej mierze mógłbym powiedzieć, ale matka od zarzutów syna wolną być winna. Kazimierzu! niepokoję się, brak pieniędzy zbyt cierpko daje się we znaki.

Z Adolfem uczyniłem rozbrat — obliczwszy się, wygrał ze mnie przeszło 40,000 i jeszcze mu 9000 dłużnym pozostał. O! gdyby nie Adolf i posługi Szynsia byłbym szczęśliwy! Nadużywam twojej dobroci, — ale uczyn to dla mnie. — Jedź do mego stryja szambelana, powiedz mu, iż to tylko jest potwarz, jakobym się rozwiozłemu i gminnemu miał oddać życie; zapewnij go, że to jest kłamstwem (niestety! prawda zbyt wielka), jakobym w białym ogródku bal wyprawił i tamże wszystkich moim podejmował kosztem. Przeciwnie staraj

go się przekonać, że bytność moja w Warszawie nie jest bez znakomitej dla mnie korzyści w naukach, którym się z wielkim poświęcam zapałem; że za zabawami wyłącznie nie gonię, i o tyle tylko bywam na balach, o ile przyzwoitość i rozrywki wymagają, a wydatki moje są tylko godności mojego imienia odpowiednie. Wszakżeż stryj zawsze mi mawiał, abym nigdy nie zapomniał, com sławie moich przodków winien.

Największy dasz mi dowód przyjaźni, jeśli mi serce stryja powrócisz, bo list jego ostatni był zabójczym.

Drogi Kazimierzu! tęsknię do chwili, w której cię do serca mego przycisnę.

Twój na zawsze

Edgar.

LIST IV.

Warszawa d. 10 Kwietnia.

Kazimierzu!

Jeżeli przed Twoim domem zobaczysz stado kruków lub kawek, nie lękaj się nieszczęścia! — bajka jest, aby ptaki były posłannikami piekła; jeżeli ci zajęć drogę przebieży, nie wierz w zaboron, aby cię złe w podróży spotkać miało; ale jeżeli próg twojego domu przestąpi brodaty faktor, jeżeli ci się tylko na ulicy ukłoni, poże-

gnaj spokój i domowe szczęście; — już one nigdy u ciebie nie postoją, bo faktor, jeżeli cię nie wpłatał od razu, wpłacze powoli w odnęt interesów, z których za życia nie wyjdiesz.

Widziałeś ty kiedy tę lichwiarską zgraję, snującą się w zaułkach miasta?... czyliż myślisz, że oni nad handlem krajowym radzą, że zasięgają pomiędzy sobą wiadomości, jak najkorzystniej produkta ziemi naszej za granicą spieniężyć, w jaki sposób bogactwo narodowe powiększyć?... jeżeli tak sądzisz, w najgrubszym jesteś błędzie. — Są i u nas handlujący, którzy prawdziwie kupiecką pracą i pilnością, szlachetnym przemyśłem, znamienitemi spekulacyami najszczęśliwszy wpływ na kraj nasz wywierają; — ale to nie są ci faktorzy-lichwiarze, o których mówić zacząłem. Na imię kupców i bankierów zasługujący, w całym prowadzeniu się, we wszystkich obyczajach od téj obmierzłej gawiedzi odmienni, powierzchownie i moralnie ukształceni, — nie zastępują ci drogi na ulicy, nie zachodzą ci domu z projektami szachrajstw, nie wdają się w pożyczki wekslowe po 3, 5 do 20 od sta na miesiąc; — oni, jak już poprzednio powiedziałem, porządkiem, pilnością kupiecką, wyższym, rozległym, spekulacyjnym przemyśłem, przyczyniają się do rzeczywistego handlu, — jedną dla naszych papierów publicznych wiarę i pokup, są duszą ożywiającą sprzedaż naszych produktów za granicą, nie rzadko dźwignią po-

żytecznych zakładów i fabryk, są dobrodziejstwem dla kraju. Przeciwnie zaś podli lichwiarze — oni od rana do późna w noc myślą i radzą nad tém, jakby bogatych rodzin synów do ciągnięcia długów sprowadzić, jak żądzę marnotrawców podsycać, jak lichwą przepołowić dochody liczną familią obarczonego urzędnika, jak z każdego nieszczęścia korzystać, jak ubożego, pracowitego rzemieślnika nawet zaprządz do swego jarzma procentów, — a jeżeli jest w lepszym położeniu, jak go do zaręczyn, do solidarnych wciągnąć podpisów; — i o ile na wsi nasz poczciwy chłopiec część krwawo zapracowanego chleba przebiegłości propinatorów w haczu składa, o tyle miast i miasteczek lichwiarze żywią się pracą rzemieślnika.

Nie istnieją u nas, jak w Berlinie i innych niemieckich miastach, składki cechów, w znaczne zamienione kapitały, któreby w ciężkiej przygodzie, w razie nagłej potrzeby, albo też na przedsięwzięcia zarobkowe w pomoc rękodzielnikowi przyszły; — u nas w każdym z podobnych zdarzeń lichwiarz pieniędzy dostarcza i czyni przez to nieszczęśliwego albo swoim parobkiem na lat wiele, pod jego rozkazami pracującym, albo za nieopłaconą lichwę, bo kapitał fantami zwykł był ubezpieczyć, wsadza do więzienia dłużników, jak tego nie rzadko znajdziesz w Warszawie przykłady.

Kazimierzu! młody i niedoświadczony, pragnący w zbytkach zrównać bogatszym odemnie, łatwą możliwością zaciągania długów uzuchwalony, nieprzewidujący skutków i następstw gier hazardowych, przez tego szatana lichwiarza 17 podpisałem weksli. Karaimy byliby jeszcze więcej dostarczyli, ale dowiedziawszy się, że matka moja nie tylko dożywocia ustąpić mi nie chce, ale nadto w powtórne śluby małżeńskie wchodzi, że stryj mój szambelan mojemu młodszemu bratu a nie mnie cały swój majątek podobno zapisał — zadrżeli o rychły odbiór 62,000 zł. rzeczywiście mi danego kapitału, — zwątpili o zrealizowaniu lichwy, która z ciągłych porachunków do 58,000 urosła; w ogóle mając odemnie 120,000 do żądania, czynią naradę, w jaki sposób summę tę zabezpieczyć. Od czterech tygodni nalegali mnie, abym się żenił, obiecując jeszcze pożyczyć pieniędzy na konkurencyą; — wynaleźli mi do wyboru 3 posażne panny. — Ale że dwie z nich brzydkie a 3cia starsza o lat 10 odemnie, głównie zaś, że moja miłość bez granic do Klotyldy oburza się na podobne projekta, pomimo iż uporczywie byłem naglony, na handel ten przystać nie chciałem. Zrobili więc inny zakrój: Szymsio, który każde moje ruszenie, każdy mój pomysł równo ze mną, a często odemnie lepiej znał i wiedział, w czasie najgwałtowniejszej potrzeby obiecuje wystarać się o 200 dukatów, jeżeli uczynię z wierzycie-

lami obrachunek i jeżeli podpiszę pewien układ. Ten mniemany układ zasadzał się na tém, abym wszystkie weksle *suche* zamienił na jeden *ciągniony* czyli trasowany, iżbym dozwolił zaskarżyć się a raczej, iżbym zaoczny wyrok dopuścił, a gdy komornik nakaz przyśle, abym wyrok zaakceptował; — poczem miałem dostać 200 dukatów nową pożyczki i prolongacyą wszystkich wypłat na rok jeden. Stało się, jak żądali. — Ale kiedy po zaakceptowaniu owego nieszczęsnego wyroku trybunału handlowego zażądałem owych 200 dukatów i prolongacyi na piśmie aż do przyszłego roku, Szymsio zaśląbł, nie pokazał się u mnie, a gdym mu w jego własnem pomieszkaniu gorzkie o zdradę czynił zarzuty, obiecał, że na 6 kwietnia wszystko ukończy. Jakoż stawił się 6go kwietnia o 8mej rano. Prolongacyi na piśmie nie przyniósł, zaręczając, że ją jutro przyniesie. — Co do 200 dukatów, wierzyciel, któremu cały dług mój przez współników był ustąpiony i którego uzyskał na mnie wyrok przezemnie zaakceptowany pod przymusem osobistym, odsyłał mnie po tę nową pożyczkę do szwagra swojego zięcia, któremu wyjednać miałem przez moje wpływy odbiór jakiejś kaucyi, za niedopełnienie tylko lekkiej formy zatrzymanej.

W blado-kanarkowym rajtroku i w mych ulubionych pantalionach w czerwoną kratkę wy-

chodzę na ulicę [w myśli, że idziemy za podniesieniem owój kaucyi. Po drodze umawia się Szymsio ze mną o faktorne, żąda, abym mu 15 zł. za dorożki zwrócił, — chociaż jak żyw nigdy za memi interesami dorożką nie jeździł, bom zawsze widział przez okno, jak piechotę lichwiarzy sprowadzał; — i wśród takiej gawędki dochodzimy do pałacu Branickich, gdy wtém Szymsio, jakoby tambour-major, łaskę prostopadle w górę podnosi i na dół ją spuszcza. Jeszczebym się po tych znakach nie domyślił, o co rzecz idzie, ale kiedy widząc, że z przeciwnego domu ten sam komornik, któremu do protokołu zawczoraj wyrok trybunału handlowego zaakceptowałem, na czele dwóch sierackowych waszeczów ku mnie wprost biegnie, — nie długo się namysławiając, w nogi napowrót. Szymsio, kądel, w najwyższym zuchwalstwie uchwycił mnie za połą od rajtroka; szczęściem sukno nie wytrzymało siły odciągającej, lichwiarz z połą w ręku upadł w błoto, nadbiegający komornik przewalił się przez niego, i tylko panowie asystenci, młode chłopaczki, puścili się za mną w pogoń. Kaziu! nigdy się do mety nie ścigał; tą razą pierwszy raz przekonałem się, że mam cudowny charakter w nogach: — o 20 kroków pierwój wpadłem do mojego pomieszkania. Wiadomo ci zapewne, że w domu bez obecności sędziego pokoju aresztować nie mogą; zanim zaś zrobili podanie do sędziego pokoju, zanim

sędzia rozpoznał prawność żądania komornika, już przez ogrodową furtkę wymknąłem się na Warecką ulicę, ztamtąd około Dzieciątka Jezus dostałem się na Mazowiecką, gdzie napotkawszy dorożkę, ruszyłem za rogatki. W Kaskadzie pod Marymontem siedziałem do zachodu słońca, a po 6tej dopiero wróciłem do miasta. Nazajutrz niedziela, a więc od napaści wolen, udałem się do mojego mecenasa po radę. Oświadczył, że, gdybym nie był akceptował wyroku tylko opozycją zadyktował, byłby z łatwością zniósł przymus osobisty, ponieważ nie jestem handlującym, a trasowanie na mocy paragrafu o supozycją miejsca, z którego weksel miał być ciągniony, byłoby się także unieważniło, — cóż kiedy wszystko za późno! — Pytałem się, czyli więc lichwiarze mogą rzeczywistą myśl prawodawcy obieżyć? — odpowiedział: nie masz ratunku.“

Trzeci już tydzień słońce jest dla mnie srogim nieprzyjacielem. Strzegę się na ulicy, a w pomieszkaniu moich przyjaciół zawsze ktoś na straży, aby mnie obecnością sędziego pokoju zbrojni nie zdybali. Szymsio, obwieś, pisał do mnie przez Alfonsa list, że jeżeli Kurzynowscy solidarnie za mnie poręczą, rzeczywiście prolongacją na rok jeden uzyskać mogę. Kurzynowscy bezczelnie odmówili, tłumacząc się, że oni także na swoje potrzeby już trzy weksle podpisali i więcęj się szargać nie mogą. Czekam na odpowiedź od stryja. Rzymkiewicz tylko

800 zł. przywiózł; — o twojem sercu przekonany jestem, ale cóż, kiedy pieniądze nigdy w parze z dobrém sercem nie chodzą, — tak wielkiej sumy ani poręczyć ani zapłacić nie jesteś w stanie. — Ojciec Klotyldy dowiedział się zapewne o méj przygodzie, bo wczoraj z ponurym uśmiechem zagadł mnie u Juliana, czyli to prawda, że miał do Kozienic na radę familijną wyjeżdżać. — Przestrzeżono mnie, że wierzyciel stara się u prezesa o pozwolenie aresztowania mnie w dni świąteczne, bo się bardzo oburzył, gdy mu w niedzielę na Krakowskiém przedmieściu „dzień dobry“ pod nos powiedział, — aż mu zęby zaszczeły. Jeszcze Szynsiowi muszę podobnie na jego list odpowiedzieć. — Obiecywał Andrzejowi 100 zł., jeżeli mu doniesie, gdzie ja się ukrywam. Pamiętasz, jam ci pisał, że trzeba o Szynsiu pomyśleć, że dla niego zrobię składkę. Wiesz, jak my się sobie po-przyznawali, to nas trzynastu na te trasowane weksle załowił; tylko że żaden prócz mnie wyroku nie zaakceptował. Przy pierwszej sposobności przyslij mi dwa tomy ekonomii politycznej, leżą na komodzie przy oknie w sypialnym pokoju; — nudzi mi się cały dzień rozmyślać nad marnościami tego świata, a Erazm, w którego pomieszkaniu się chronię, rzadko w domu siedzi, do mnie gołca nikt też nie zajrzy, zacznę więc czytać. Bóg wie, może mi ta awantura jeszcze na dobre wyjdzie; przynaj-

mniej będzie dla drugich przestrogą, dla mnie zawsze nauką, wprowadzie zbyt późno, ale też nie darmo przysłowie: „Mądry Polak po szkodzi.“

Czule Cię kochający

Edgar.

List V.

Warszawa 17 Maja

Kiedy ty świeżem i wolnem oddychasz powietrzem, kiedy młodzińcze oko zapuszczasz w przestronny widnokrąg, śledząc przyrodę w jęj wiosenném życiu, a myśl wsi spokojnej skromnym biegiem szlachetnych czynów ozdabiasz i w czystości swych uczuć rękojmą twojéj przyszłości znajdujesz, — ja w murach więzienia za długi ciężkimi zgryzotami trawiony, każdy krok lekkomyślności bolesną zwołuję pamięcią. — Po napisaniu ostatniego listu do ciebie ciągle się miałem na ostrożności; — to wszystko, co przezorność radziła, wypełniałem najściślej; nigdy przed zachodem słońca i na krok jeden nie wynurzyłem się z kryjówki, nigdy dwóch dni w jednym nie zostawałem miejscu; w święta nawet też same zachowałem przepisy i wtenczas, kiedy tylko u Antipodów świtać a u nas dobrze zmierzchać się poczęło, wychodziłem na miasto. W domu rodziców Klotyldy

z niewysłownym żalem bywać przestałem, gdyż więcej niż niechętném widywali mnie okiem; jak tylko bowiem rozeszła się pogłoska, że *Zachód słońca* odgrywam*), stryjenki, babki, ciotki, przyjaciółki, niedawno nawet Klotyldzie znajome panie, tuzinami jak opętane biegly z ostrzeżeniem, żem bankrut, gracz, rozpustnik; — mniemani przyjaciele, których przesyłem ostrzygami, których w szampanie kąpałem, którzy mnie tak często w karty zgrywali, przed rodzicami Klotyldy głosili długi moje w dwójnasób. — Szczupłe szczerych przyjaciół pozostałe grono, rzeczywiście zaś tylko Staś i Erazm nie opuszczali mnie w mém przykrém położeniu; z nimi to starałem się smutną rozpędzić troskę, skołatany rozerwać umysł i tęskne ożywić serce. — Wszakżeż milczenie mojego stryja, do którego czwarty list bezskutecznie wyprawilem był, wielce mnie trapiło. Nie wiem, jak długoby jeszcze trwała niepewność mojego losu, gdyby nie szczególniejszy przypadek, który w następstwie ostateczność i rozwiązanie tragedyi sprowadził. Pamiętasz, iż trudno mi jest literę ł wymawiać; — przed tygodniem umywając się rano, wołam na służącego: „mydwa,“ chcąc przez to wyrazić, iżby mi mydła podał. — Spojrzał się na mnie głu-

*) Tytuł komedyi ulubionój, w której artysta Żółkowski gra mistrzowską ściągą zawsze widzów.

piec i z uśmiechem odpowiedział: „tak, jaśnie panie, my — dwa, jaśnie pan i ja, biedni jesteśmy.“

— „Ale ja, osłe, mówię *mydwa*“ krzyknąłem ze złością w przekonaniu, że się tylko z mojej wymowy urąga a zarazem, że się ośmiela tworzyć niedorzeczny ekwiwok do mego położenia zastosowany.

— „A ja też mówię, że my dwaj — jaśnie pan i ja“ odrzekł powtórnie. Był to służący Erazma. — Ja pewien, że sobie łągas żarty ze mnie stois, palnąłem go z całej siły za ucho.

Nie wiedząc, za co tak mocny raz odebrał, i wychodząc z tej zasady, że u mnie nie służy, że go nikt w życiu nie uderzył jeszcze, począł się straszliwie ze mną kłócić; w końcu uczyniłwszy odgrózkę, że mi tego nie zapomni, umilkł i wyszedł. — Nazajutrz uwierzywszy, że nie on ale mój język nieporozumienia przyczyną, chciałem mu owo pokrzywdzenie nagrodzić, dając dwuzłotówkę. Jaś, chwat chłopak, uklonił się ale nie przyjął, mówiąc pod nosem, że tego rodzaju krzywdy pieniędzmi wynagrodzić nie można. Pomyślałem, „wezmiesz ją później“ i wkrótce zapomniałem o tak mało znaczném zdarzeniu; ale łotr nie zapomniał zemścić się srodze. — O piątej z południa zdrzymałem się na sofie; senne marzenia miły zwabiły obraz: byłem na balu, uroczą Klotylda z opartą na mojem ramieniu rączką galopadę ze mną tań-

czy; — modre zdobne długą rzęsą oczy spuściła w wdzięcznym zawstyżeniu, ja jęj w drobne uszka przysięgę wiecznej miłości przesyłam, zdaje mi się, że czuję lekkie ręki ściśnienie. — Oh! ona mi' wzajemną! . . . ściśnienie coraz silniejsze! . . . gwałtowne! — Budzę się, Jaś stoi przedemną, oświadczając, że pan jego czeka na mnie w sąsiedniej restauracyi z bardzo wielu młodymi panami. — „Zobacz pierwój, czyli przed naszą kamienicą . . .“ „Patrzałem, nie masz nikogo, jasnie panie.“ — Pospieszam więc w zupełnej ufności; aliści ledwom próg domu przestąpił, jakoby kot, na zdobycz czychający, skoczył komornik, Szysio i ci dwajichmoście, co mnie tu już w zeszłym miesiącu wyprobowali. Możeby był jeszcze mógł śmiałym odwrotem uniknąć straszliwego końca, ale w tę chwilę mściwy zdrajca, Jaś Mydwa — drzwi sienne zatrzaskał. Nie podobna mi było czynić oporu, ludzie przypatrywać się zaczęli, — prosiłem więc tylko komornika, aby przyzwoitość zachował. Udając więc obojętną rozmowę, wsiedliśmy do dwóch dorózek, ja z komornikiem do jednéj, tamci do drugiej. Na Lesznie, wprost Karmelitów zatrzymały się pojazdy. Przy wysiadaniu wypadł mi z kieszeni bilet wizytowy maczkiem i gotykiem pisany; — podnosząc go, wyrzekł komornik: „Przyjmą pana z pewnością, ten bilet jest zbyt cennym.“ — Zgadł, roztwarto ciemne podwoje; gościnnie inspektor nie czynił żadnych trudno-

ści, a po spisaniu przez komornika aktu osadzenia, po wpisaniu w wielką księgę kontroli mojego imienia i nazwiska, wskazał najuprzejmiej bezpłatny pokój z jednem łóżkiem, z jednem starém krzesłem i z jednym sosnowym stolikiem. Tutaj przez 6 dni oddany najsroższéj rozpamiętywania męczarni, gorąco Boga o cierpliwość w nieszczęściu prosiłem, — a moje nigdyś twierdzenie, że tylko w Warszawie na wielkim świecie młodzieniec dobrze urodzony wartość życia pojąć i ocenić jest zdolen, — obecnie gorzko zaprzeczoném, lub biorąc drugostronnie, udowodnioném zostało. Nadto, złe nigdy samo nie przyjdzie ale zawsze w liczniem towarzystwie: niedość moich zbyt cierpkich udręczeń moralnych, — niedość, że wolności pozbawiony zostałem, potrzeba jeszcze, aby moje nieszczęście dało ludziom powód do chęci zarządzania moją osobą w sposób daleko okropniejszy. Siódmego dnia moich rekolekcyi, w poniedziałek, usiadłem przy oknie, patrzę się na budowę przeciwległej wieży kościoła X. X. Karmelitów, muzyka z kotłami, zapowiadająca odpust, rozpoczęła melancholiczną symfonią; — dumam o Klotyldzie, ażaliż się nie stanie moją opiekuńczą gwiazdą, coby mnie z pośród ciemności przesądów, wad i zaślepienia na drogę rozsądku zawiodła, coby mi rzeczywistą powinność, pracę, pomyślność włóścian, pozyskanie niezależności, za cel i dążenie wskazała, — gdy

wtém ukazał się we drzwiach p. Gayer, niedgdyś naddzierzawca sąsiednich mi dóbr rządowych. — Nie mogłem pojąć, co sprowadza tak bardzo bogatego człowieka do więzienia za długi. Proszę siedzieć, sam zająłem miejsce na łóżku; i oświadczywszy szczerą wdzięczność za niespodziewane a tém łaskawsze odwiedziny, pytam się zwolna, ktoby mu o mojem pomieszkaniu na Lesznie powiedział i jakiej okoliczności mam zawdzięczać zaszczyt, który mi czyni. Pan Gayer uderzył palcami w tabakierkę, rzucił na mnie wiele znaczącem spojrzeniem, dumał chwilę jakoby myśląc, od czego zacząć, i wreszcie w następne odezwał się słowa: „Mój panie Edgarze! znam ja Błędocin, wiem, że w 4ro polowém gospodarstwie można wysiać do 500 korey oziminy; bór wprawdzie wychlastany, ale za to gleba pszenna i łąki na całą okolicę najpiękniejsze, i przy dobrém gospodarstwie można mieć z Błędocina 40,000 złp. rocznego dochodu. Matka pańska jest w posiadaniu dożywocia, ale dając jej 100,000 złp. gotowizną, ustąpiłaby natychmiast. Szynsio, faktor pański, targując u mnie okowitę, odsłonił mi wczoraj, jakiemu pan uległ przypadkowi. Zaiste, trwonienie majątku jest błędem wielkim i podobno większym, aniżeli młodzi ludzie przyznać mogą, ale taka to kolój źle prowadzonych dzieci. Pan smutném nauczony doświadczeniem, możesz się

jeszcze z téj choroby uleczyć, a ja wiem doktora dla pana Edgarda.“

— Nie rozumiem pana dobrodzieja, racz się jaśniej wytłumaczyć.

— „Oto jestem w intencji zapłacić weksle pańskie!“

Obstupui! — jaw czy sen?! wielkie szczęście, że mi żyły w oczach nie popękały, tak je mocno roztworzyłem; przecieram, macam się po czole, — istotnie nie wiedziałem, co się ze mną dzieje.

— „Od pana Edgara zależy tylko — przyjąć moję przyjaźń lub ją odrzucić.“

Chwytam się za palce, za nos, za włosy, zerwałem się z łóżka, biegnę do pieca, na powrót, czuję, że na jawie. Nie wiele więc myśląc, jak zacząć mojego Gayera ścisnąć, całować, — ledwo, ledwo że go nie udusił; spłakaliśmy się obydwa. Lecz jakżeż krótką była moja radość, gdy Gayer odetchnawszy trochę wyraził się jaśniej, że prócz spłacenia dożywocia matki, weksli i wszystkich długów moich (które mu Szynsio sumiennie obrachował) doda jeszcze 100,000 złp. do uzupełnienia 70,000 talarów, wiana jego córki Elizy. — Gdyby piorun we mnie uderzył, nie takbym się jeszcze był wylął, jak się wyląłem tego zakończenia. Kazimierzu! drogi ukochany przyjacielu! już 48 godzin minęło od Gayera bytności u mnie,

a jeszcze febra przestrachu mnie trzęsie. Kaziu! tyś nigdy nie widział panny Elizy Fryderyki Karoliny Emilii Gayer. — Najmniejszą jej szpetnością jest potężna i śpiczasta na plecach wypukłość; — w potocznej, w powszedniej mowie, utartym wyrazem nazywają to garbem. ... Gdym ją w zeszłym roku pierwszy raz ujrzał, o mało nie krzyknąłem: „ogień! gore!“ tak bardzo czerwone ma włosy. Chuda jak szkielet, wysoka jak żuraw, do tego sepleni, zająka się, — i lubo ukradkiem ale często żączywa tabaczkę; gra na angielskiej gitarze i śpiewa tak przenikliwem *Soprano*, że wszystkie myszy o ćwierć mili w około swoim wynoszą się kosztem. Jest spazmatyczną; tańczy lubi na zabój; i od 3 lat pisze romans o rozbójnikach, a przy téj pracy jej nos zatabaczony rozczula się bardzo często. Łatwo więc zgadniesz, że, o ile bym z całej duszy pragnął widzieć długi moje zapłaconemi, o tyle nie czułem się godny dwa skarby pana Gayera na raz odzyskać: jego worek i jego Elizę. Namawiałem go przeto, aby w sędziwym wieku nie ogołacał się zupełnie, aby córunię zatrzymał przy sobie, a mnie iżby pożyczył pieniędzy z procentem po 8 od sta; — lecz nie chciał przystać na to. Wielce więc obadwaj pomiészani, rozstaliśmy się bez wzajemnego zadowolenia. Całą noc spać nie mogłem, bo widmo Elizy, jakoby duch mściciel, snuło się bez przerwy przed memi oczyma, i do-

piéro nad ranem obraz anioła Klotyldy mile znużone skleił powieki.

Wczoraj przybył nakoniec oczekiwany i upragniony przezemnie stryj szambelan. Długą była rozprawa pomiędzy nami, to jest, on przez dwie godzin lażał, co się w moje uszy zmieściło, jam słuchał jak baranek.

Dzisiaj układa się z wierzycielami, aby wypłatę na 3 lata rozłożyć; nie wiem, czyli się szczęśliwie zakończy, gdyż oni żądają, aby stryj pod rygorem prawa wekslowego zaręczył, czego się bardzo wzbrania, dając jedynie hipotekę na Rozmyślach i Hawłodnie. Stryjenka z babunią i z ciociami złożyły sesyą, abym się żenił z jej siostrzenicą, panną Pulcheryą. Panna Pulcherya nie posiada wszystkich wdzięków, jakimi panna Eliza od hojnej czyli rozrzutnej przyrody wyposażoną obficie została, — ale w swoim rodzaju ma także arcy-szczególne zalety. Mój bekas gdy na tylnych stanie łapach, o cał przynajmniej jest wyższy od panny Pulcheryi: niska jak karzeł; otyła nad wszelką miarę; śmieje się bez najmniejszego przestanku; liczy nie mniej nie więcej tylko 40tą wiosnę; prócz Złotego Ołtarzyka żadnej innéj nie czytała książki; ubiera się podług własnego gustu; np: na imieniny stryja wystąpiła w pomidorowej sukni z szafranowym na głowie zawojem, w błękitnych trzewikach, — nie mówię trzewiczkach, bobym się najbezczelniej z prawdą pominął; —

w stósunku do nózki jest rąsia; ząbki wyrazi-
ste i oczki takż niepośledniej wielkości, tylko
nos, rzeczywiście małeńki, w kształcie okrągłego
ziemniaczka, który przy najlżejszém porusze-
niu i przy najmniejszém zamyśleniu starczyłby
na odpędzenie nie tylko plew ale i ciężkiej ze
zboża kostrzewy. — Gdyby mnie karzący Je-
howa do tak lubej połowicy przykuł na docze-
sną pielgrzmkę mojego żywota, nigdybym się
w stodółach o wiatr nie troszczył, bo należa-
łoby tylko jejmość małżonkę na progu posta-
wić, a mój karbowy oddałby na sypanie naj-
czyściejsze ziarno. Niechaj mnie oni wyswobo-
dzą a będę już wiedział, jak się od dobrotli-
wości stryjenki uwolnić; tymczasem pozornie
na wszystko przystaję. Kazimierzu! oto są na-
stępstwa szalonej młodości: — żydy, baby, stare
pańny, kutwy, nudni moralisci, podają mnie so-
bie z rąk do rąk jakby jaką zdawkową mo-
netę, do której każdy właściciel kilku talarów
sądzi mieć najłatwiejsze prawo. -- Słucham je-
szcze, rychło mnie za nieposłuszeństwo roznie-
wany stryj do klasztoru wsadzi. Niechaj się
dzieje wola Boża, przecież to jakoś być musi;
ale że się Klotyldy nie zrzeknę, to jest mate-
matycznym pewnikiem; w ostateczności raczej
do ostatecznego sądu Bożego na Lesznie po-
zostanę, niżbym miał Elizie lub Pulcheryi do-
zgonną zaprzysięgać miłość. Mogłem się w lic-

bowaniu tysięcy pomylić, ale nie pomylę się
w wyborze mojego serca, bo sercem raz się
tylko w życiu rozrządza.

Twój szczerze przywiązany i stale cię kochający

Edgar.

Autor 7 trasowanych weksli.

P. S. Dla płci pięknej, troskliwej o los młodzieńca,
donoszę, że pan Edgar z więzienia za długi dobro-
czynnem pośrednictwem stryja uwolniony został, lecz
się jeszcze nie ożenił; — jest do wzięcia; ładny i do-
bry chłopiec, ale goły jak *turecki święty*. (Klotylda
poszła za mąż).

SZKICE PSYCHOLOGICZNE

NIEKTÓRYCH LUDZI-ZWIERZĄT.

SZKICE PSYCHOLOGICZNE

NIEKTÓRYCH LUDZI-ZWIERZĄT.

PRZEDMOWA OSTRZEGAJĄCA.

Kogokolwiek rażą jasne wyrazy, niechaj poniziej umieszczonych szkiców psychologicznych nie czyta. W rozmowach salonowych jedwabne słówka popłacają ale nie na polu prawdy, gdzie stają się niedołężnością; gdzie przystępne dla ogółu, zrozumiałe a więc proste orzeczenie jest najpierwszym pisarza warunkiem. Nadto, nie są to rozprawy na metafizyce oparte, ale spostrzeżenia chirurga filozofii, który różnie prawdę a o resztę nie pyta.

Wstęp pierwszy.

Ludzie — każdy po szczególe i wszyscy w ogóle — są głupimi!... ale jedni są mniej

głupi, drudzy więcej głupi. I z téj to różnicy głupstwa rościmy sobie prawo do nazwy rozumnych; np. Piotr ma 70 stopni głupstwa, Paweł 30, Andrzej 20, Kazimierz 6, a ja tylko 3 stopnie; — w ówczas Piotr jest srodze głupi, Paweł bardzo rozumny, a ja będę najrozumniejszy!... to jest podług powszedniego sądu ludzi; — gdy tymczasem objawiając szczerą prawdę — ani Andrzej, ani Kazimierz rozumnym nie jest; a nawet i ja! — rad nie rad, do głupców policzyć się muszę. Proszę mi wierzyć, że tak jest niewątpliwie; dowodów na to przytaczać nie widzę potrzeby; chyba by kto stanął mi w oczy i okazawszy świadectwo od lekarza, że jest zdrow na ciele i umyśle, wyrzekł; „jam przedmiot i podmiot na wskroś przeniknął; — jam w życiu mojem nigdy głupstwa nie popełnił!“ w takim razie wdam się w dowodzenia i jak Bóg Bogiem dowiodę każdemu, że łże! — W mocném przekonaniu, że się nikt nie stawia, któryby żądał dowodów swojego głupstwa, w założeniu ogłaszam i za filozoficzny przyjmuję pewnik, że każdy jest głupi. — Com dotąd wyrzekł, proszę uważać za wstęp pierwszy, jak my to u góry napisali.

Wstęp drugi.

Każda ludzka istota, różniąca się od zwierząt nie mową i rozumem, jak to ś. p. Kop-

czyński mylnie powiedział, ale jedzeniem potraw gotowanych, skoro przechodzi 100 pomiarów głupstwa *), przestaje być człowiekiem i zmienia się w ludzkie zwierzę, czyli staje się człowiekiem-zwierzęciem. — O tych to ludziach-zwierzętach mówić zamierzyłem.

Wykład téj obszernéj nauki przechodzi granice pracy jednego człowieka, albowiem, ile jest zwierząt, tyle téż i rodzajów ludzi-zwierząt napotykamy; ja więc tylko niektóre rodzaje oszukuję, wprowadzie nie z należąą dokładnością, ale bo téż i trudno być dokładnym w zbadaniu człowieka-zwierza, który często rządzi się namiętnościami jednocześnie kilku zwierząt.

Szereg pierwszy.

Małpy.

Małpy są ze zwierząt ludzi najliczniejszym rodzajem i dla tego téż jest ich po całym świecie ilość nieskończona. Są małpy salonowe, literackie, wielko-miejskie, mało-miejskie, artystowskie, rzemieślnicze, chłopskie, zgoła wszelkiego stanu i powołania; nadto męskie, żeńskie

*) Przez głupstwo nie rozumiemy samych stopni braku nauk, przebiegłości, sprężystości i bystrości umysłowej, ale niemniej i stopnie braku uczuć serca i uczuć ducha i stopnie ślepoty na cel i przeznaczenie człowieka.

i nijakie; stopnia równego, wyższego i najwyższego; odbywają małpiarstwo przez wszystkie czasy, osoby i przypadki, z tysiącem najrozmaitszych podziałów i odcieni. — *Człowieka małpy znamieniem jest bezrozumne, szybkie naśladownictwo.* I tak pokaże się ktoś dzisiaj na ulicy w kusym ubiorze srokatym, z pewnością nazajutrz napotkasz sto małp-ludzi w kuszach, srokatych sukienkach, bez żadnego względu na okoliczności ich życia, na porę czasu, na zdrowie i przyzwoitość; za tydzień spostrzeżesz dwieście, w miesiąc do tysiąca małp-ludzi srokatych, kuso ubranych; i liczba ta będzie wzrastała do setek tysięcy, dopóki znów jaki orangutan modelowy nie ukaże się w ciemnej długiej opończy, a wówczas na nowo spostrzeżesz sto, tysiąc, pięćdziesiąt tysięcy małp-ludzi w ciemnych długich opończach.

Jerzy założył wielką gorzelnię, bo daleki przewóz zboża i obfitość lasu tego rodzaju przemysł przez rozumowy rozbiór nastroczyły; — aliści w rok potem Ignacy małpa, Jan małpa, Stefan małpa, Grzegorz małpa, i 300 małp innych pospieszyło jakby na wyścigi z wystawieniem ogromnych gorzelni, pomimo że nie ich nie zmuszało do pomnożenia tego szatańskiego źródła niedoli naszego biednego ludu wieśniaczego.

Pojechał chory bogacz do wód zagranicznych dla poratowania zdrowia, trzy tuziny

małp-ludzi wlecze się za granicę z nadwężeniem swojego szczupłego majątku.

Niechaj w zbytkach tonący hrabia dla zerwania nudów, albo wielki przedsiębiorca dla pozyskania przychylnych zdań, wyprawi bal świetny, niezawodnie téjże samej nocy jeszcze kilkanaście małpeczek suszy mężułom główki, aby i oni co rychlej bal wielki wyprawili. Zgoła w każdym zdarzeniu, przy każdej okoliczności, ludzi-małp, małpeczek i małpiątek jest olbrzymia obfitość, i gdyby np. w kraju naszym tysiąc szybkopisarzy od świtu do zmierzchu spisywało codziennie dowody małpowania naszych ludzi-zwierząt, jeszczeby ani 10ta część czynów małpowanych do kroniki głupstwa ludzkiego zachowaną być nie mogła; — bo jakżeż rzadko, bardzo rzadko trafia się u nas taki człowiek, któryby nie małpował, któryby czynności swoje na przekonaniu rozumu opierał, albowi téż w naśladowaniu czynów godnych natury małp-zwierząt nie zdradzał. — Pilne zastanowienie się nad naszym przeznaczeniem, badania czysto umysłowe przed rozpoczęciem każdej czynności, to są jedyne lekarstwa, zapobiegające przeciw zarażeniu się przywarami małp ludzi-zwierząt w stopniu wyższym, bo stopień niższy jest podobno niestety! przez nieodgadnioną niełaskę wszech mamy (natury) w naszą ziemską istność niejako wpleciony;

jakoż wszech-mama przy utrzymaniu powierzchowności zwierząt mały najwięcej do ludzi podobnemi uczyniła.

Szereg drugi.

Osły.

Nie masz jednego zakątka na całej ziemi, któryby nie był siedzibą osłów. Wprawdzie mały jest najwięcej na świecie, ale i osłów gromady są liczby olbrzymiej; — bo proszę mi powiedzieć, kiedy to, w którym to stanie, w którym zawodzie na osłach zbywało?.... Czyż oddawna nie widzieliśmy i dzisiaj nie widzimy osłów, o! bardzo wielkich osłów w naszym różnym gospodarstwie? czy nie widzimy osłów pomiędzy lekarzami, artystami, zgoła w każdym zawodzie i o zgrozo! nawet pomiędzy literatami! Nie szukając daleko, w samejże Warszawie iluż to osłów literackich!... np. ten jegomość który napisał...?... *prima aprilis*, nie powiem. O złośliwy czytelniku! ty-byś może rad był czytać w alfabetycznym porządku wydrukowany quasi-kalendarzyk wszystkich dziś-czesnych osłów literackich?... A jak-byś tam i swoje znalazł nazwisko?... he... mi-łoby ci było?... Nadto chcąc drukować listę osłów literackich, należałoby wedle ścisłej sprawiedliwości wydrukować i osłów z innych ka-

tegoryi, przez co ja, biedny chirurg filozofii, mógłbym popaść w tarapaty, uwienieczone zwierzątkiem brodatym, za które, znając je dobrze, najuniżejniej dziękuję; — mówić w ogólnikach to wcale co innego.

Osły-ludzie dzielą się na młode osły i na stare osły; na osły kamiennego uporu i na osły najwyższej powolności; na osły ryczące, głośnie i na osły pokorne; наконец na wielkie osły i na małe osły. — W tym gatunku ludzi-zwierząt pleć męzka wyłączną odgrywa rolę. — Szkoły są dla osłów pierwszym polem popisowania się z tępym pojęciem, z lenistwem, z obojętnością duszy i serca; wszakżeż zdarza się, że te same osły w dojrzalszym wieku bywają bardzo pilne w mało-pożytecznych pracach i bardzo czule w miłości; ale jest to najpociesniejszy widok, osieł rozamorowany (rozkochany).

Powszechnie osły z łatwością i pięknych i bogatych żon dostają; anatomią przyczyn fizycznych i występne kobiet rozumowanie w tej mierze, jako zbyt zasmucające, pomijam, a raczej objawię cześć dla tych dziewic, które pogardzają osłami.

Szereg trzeci.

Niedźwiedzie.

O ile marmurek, lis, pies i pies z ogonem, (o których niżej), najwięcej do miast się cisną,

o tyle niedźwiedzie najchętniej po wsiach się sadowia. Człowiek - niedźwiedź zawsze nadęty, grzeczność i uprzejmość poczytuje za słabość charakteru i unika tych przymiotów, rozumiejąc, że jego niedźwiedzia mość ubliżyłaby swęj ogromnej godności, gdyby dla kogo grzeczność i uprzejmość okazała. Zwykle niedźwiedzie chorują na suchoty mózgowe, ale co do ciała na samęjże *personie* są w kwitnącym stanie. Stare niedźwiedzie miewają czasem tę istotną zaletę, że są szczeremi, otwartemi i rzetelnemi w słowie; u młodych niedźwiedzi i o te zalety najczęściej na próżno się spytasz. — Niezgoda w publiczném, gnuśność w prywatném życiu, są także od niedźwiedziego rodu nieodłączne. — Żyją wystawnie, z pracy ludzi innego gatunku.

Szereg czwarty.

Lwy, Lwice i Lamparty.

LWY.

Po najwykwintniejszym, częstokroć zarazem i najdziwaczniejszym stroju, po zapachu najdroższych olejków, po najmodniejszém uglądzeniu długich kudłów, lub téż w odwrotnęj ostateczności, po krótko, bo aż przy samęj skórze strzyżonym włosie, — co mimowolnie przypomina szczecinę nierogacizny; — po osobliwszych zarostach twarzy, po butném spojrzeniu, bez wielkiej trudności poznasz lwa; a gdybyś naj-

mniejszą miał wątpliwość, wpatrz się pilniej, na jego czole wyczytasz lekko ścieniowane wyrazy: „wielki człowiek do małych interesów.“

Lwów i lwice dawnemi czasy dostarczały nam wyłącznie książęce, hrabiowskie albo bardzo zamożnej szlachty rodziny; — dzisiaj przez cywilizacyą XIX stulecia z każdego bezwyjątkowo stanu łonią się lwy i lwice i dla tego mamy ich téż teraz podostatkiem. — Lew w wielkich miastach odbywa nowicyat, w wielkich miastach dojrzewa, w wielkich miastach traci kwiat swojego życia i w wielkich miastach w nędzy, nie rzadko z głodu umiera. Lwy odznaczają się chęcią górowania i ztąd zapewne przyznano im nazwę lwów. Są to panowie wspaniałomyślni w wydatkach pieniężnych, odważni w zaciąganiu długów, silni potęgą uczuć dla płci pięknej, którą aż do szaleństwa uwielbiają, dla której zaniedbują najświętszych obowiązków; samę nawet naturę lwów utracają, przeistaczając się stopniowo na osły i orangutany.

LWICE.

Błyszczyc na całą stolicę, rozrzucac śmiałemi spojrzeniami na wszystkich i wszędzie, lekceważyc zwyczaje bogobojnych i skromnych niewiast a na drodze emancypacyi, z cygarem w ustach, z kieliszkiem szampańskiego wina w drobnej rączce postępować bez rumieńca

wstydu, oto jest lwic ogólny zarys. Pod względem zmysłowości lwice bywają bardzo przyjemnymi zwierzętami, — ale ani głębokiej, prawdziwej czci ani szczerego uwielbienia godnymi nie są. Biada niedoświadczonemu młodzieńcowi, który lwicę pokochał, gdyż miłość lwicy nie zna zawarcia się w granicach jedności.

LAMPARTY.

Młodzież płci męskiej, rozwiozła, zupełnie o obowiązkach swojego powołania zapominająca, hulaszczą, próżniacką, bezbożną, a przytém bezprzestannie za najgrubszej zmysłowości zabawami goniącą, lekkomyślną i zuchwałą, dźwierży nazwę lampartów.

Miasta są ojczyzną tego rodzaju zwierząt, nasza Warszawa nie jest ubogą w miejscowych lampartów, a nie zbywa jęj i na przyjezdnych. — Lampart z lampartem przez skórę się poczuje, natychmiast się zaprzyjaźni i pobraci, ztąd też bardzo rzadko pojedynkiem chodzi. Lampart wieczorną i nocną porę przenosi nad światło dnia; bilardom, brudnym kawiarniom i rozmaitego gatunku szynkowniom daje ulubione pierwszeństwo przed domami ucziwych rodzin; brzydzi się literaturą, najznaczniejszą część swoich stałych i niestałych dochodów składa na ofiarę gier hazardowych, przy których traci ostatni grosz swojego mienia; poczem nienawykły do pracy przechodzi w poczet oszustów i złodziejów i kończy życie w więzieniu.

*Szereg piąty.***Gęsi.**

Czém jest osieł w ludzkiej płci męskiej, tém jest gęś w ludzkiej płci żeńskiej ale jeszcze z większém (jeżeli być może) ograniczeniem umysłowém. — Kobieta-człowiek zwykle jest przenikliwą, w najwyższym stopniu instynktową, delikatnością uczuć celującą; — gdy przeciwnie kobieta-gęś jest tak głupią i na wszystko obojętną, że nawet nie posiada zdolności kobiety-małpeczki. Młode gęsi czyli gąski, zazwyczaj na wsi wychowane, są o tyle łatwiejnymi, że je nie tylko każdy lis ale i pierwszy lepszy gawron w pole wyprowadzi.

*Szereg szósty.***Gawrony.**

Lubo po gęsiach rzeczywiście sroki i papugi następują, jednakże gdyśmy przy gęsiach wspomnieli o gawronach, nadto dla urozmaicenia płci i ze względu na pokrewieństwo*) niechaj gawrony idą za gęsiami.

Gawrony, zawsze płci męskiej, lęgną się po wsiach i po małych miasteczkach; ale skoro

*) O pokrewieństwie ludzi-zwierząt, o zbliżaniu się ich charakterów, usposobień, zdolności i t. d., jeśli mnie Bóg przy zdrowiu i życiu zachowa, na rok przyszły wykończę osobną, oryginalną genealogiczną tabelę ludzi-zwierząt, z dołączeniem bardzo pięknie malowanych dyplomów.

się wypierzą, najchętniej w wielkich miastach goszczą, gdyż nadzwyczaj i szczególnie lubią zbiegowiska ludzi i jaskrawe albo świecące się przedmioty do bezmyślnego oglądania.

Gawrony są nielitościwemi tępicielami czasu, próżniacy z rzemiosła, z głową pustą, z sercem niewybrednem, z duszą mozaikowaną najrozmaitszego koloru szkiełkami, przez które bez wyboru na wszystko z głupią ciekawością patrzą, nie zatrzymując jednakże ani śladu karmy duchowej. Dla tego prawdziwy gawron zwykle nie umie sobie zdać sprawy, z jakiej przyczyny gapił się przez godzinę nad stawianiem rusztowania przy kościele, dla czego roztworzył usta czyli rozdziawił dziób-gębę na widok przejeżdżającej bryki furmańskiej, przelatujących u góry dzikich gęsi, goniących się psów po ulicy i t. d.*); — on gapi się, gawroni bez uczucia i bez myśli, a rozmaitość sennych marzeń, z wieczora gdy się spać położy, jest jedyną jego próżniaczych trudów nagrodą. Godziny,

*) Złodzieje swoje drobniejsze potrzeby opędzają kosztem gawronów; najpospolitszy sposób jest następujący:

Złodziej niby to nie naumyślnie tłucze babie garnczek mleka baba wrzeszczy, lecą tłumem ze wszystkich stron gawrony, przysłuchują się wszczetęj kłótni daleko pilniej, aniżeli wykładanym niegdyś w szkołach naukom, gapią się i nad kierunkiem strugi rozlanego mleka, tymczasem giną ich chustki od nosa, tabakierki, zegarki, częstokroć i sakiewki lub pugilarosy. — Albo, namówiony łotr pada na ulicy i udaje pijanego; czeladź złodziejka nie próżnuje. Przy wywieszonych na sprzedaż rycinach, przy oknach biżuteryami napelnionych, jest znów zwykła, nigdy nie próżna stojka gawronów i od nich nieodstępnych złodziejów.

dni, miesiące, życie całe upływa gawronowi w umysłowym letargu; a gdy i śmierć wreszcie nadejdzie, jeszcze nie rozważy, po kogo przyszła ale się zagapi na klepsydre, kosę i łopatę, i będzie się dziwił silnemu zamierzeniu i z rozwartą gębą przejdzie do czysca, gdzie go przez tyle lat różgami ćwiczyć będą, ile godzin czasu zmarnował na gapieniu się w życiu ziemski.

Szereg siódmy.

Sroki i Papugi.

SROKI.

Gdy kobieta bez ładu i szyku skradzionemi wyrazami skrzeczy o tém, czego wcale nie rozumie, jest to kobieta-sroka. Czasem rozśmiesz, ale w końcu zawsze zniecierpliwi mężczyznę. W młodym wieku są niewysłowioną serc wszystkich babuń i dziaduniów pociechą i nadzieją; u nich się też zazwyczaj wychowują. — Stara sroka jest zawsze nieznośną.

PAPUGI.

Z tego samego gniazda co sroki. Papuga powtarza bez wyboru wszystko, co słyszała, ale się nie wdaje w żadne rozprawy. Kto żąda poznać tajemnicę jakiej rodziny, niechaj się zaprzyjaźni z papugą a z pewnością w kilka godzin wszystko będzie wiedział, potrzebne i niepotrzebne szczegóły drobiazgowe, ważne i naj-

ważniejsze wypadki. — Papugi od urodzenia wiecznie chorują na świerzbienie języka i dla tego ciągle nim w ustach melą i to też jest ich najpewniejszą poznaką. — Wszystkie pomiędzy ludźmi nieporozumienia pochodzą z winy papug a i wielkie nieszczęścia nieraz na ich ciążą sumieniu.

I sroki i papugi są w plotkarstwie mistrzyniami.

Szereg ósmy.

Marmurek, Lis, Pies i Pies z ogonem.

MARMUREK.

Marmurki krążą po całym świecie, jednakże wielkie miasta są ich najulubieńszem siedliskiem. Każdego rodzaju *śmietanka* jest dla nich najmilszym przysmakiem i do niej nigdy nie ugasszone czują pragnienie. Marmurek ma zwykle niewinne i skromne ułożenie; jest łagodny, rozsądny, dobrowolny, uprzejmy, słodki, manifestuje się poczciwością ale bez przysiąg i zaklęć, bo po większej części przekonywa rozumowaną prawdą; niemniej przecież obok tej prawdy przy każdym interesie tak umie rozeń obracać, że dla niego najlepsza częśćka pieczeni przypadnie. — Marmurek bezpośredniem oszustwem i niezgrabniem kłamstwem pogardza, natomiast zyski wyrafinowane, w niczém kodeksu Napoleona nie obrażające, mądrością być mieni.

Jeżeli marmurkowi zrobisz zarzut, że w jego czynnościach jest brak uczuć obywatelskich, odpowie, że jest ojcem licznej rodziny, że działa zgodnie z *rozumem* (?!), że w niczém sumienia nie obraził; — nakoniec w nagłej potrzebie Bogiem się zaświadczy i ciężko westchnie. Marmurki w społeczeństwie nie są arystokratami, niemniej przeto demokratów pilnie się strzegą, — żadnych poświęceń nie znają, dobrze czynią wtenczas tylko, gdy tego ich własny interes lub konieczność wymaga. — Marmurek nikogo nie obrazi ani rozgniewa, ale także żadnego serca nie rozploni; wielki posag przenosi nad wszystkie wdzięki niewieście; jest mężem znośnym ale nie uszczęśliwiającym; — dzieci swoje z najdrobniejszej młodości sposobi na spekulantów, bo w oczach starego marmurka przebiegły spekulant jest *najwyższą* rozumu ludzkiego potęgą!

LIS.

Równie jak marmurek miasto nad wieś przenosi. W powierzchownych oznakach lis mało się różni od marmurka; pilnie przecież badając, znajdziesz, że jego spojrzenie zawsze jest chytre a uśmiech w jednej godzinie rozmaite przybiera odcienia i zmiany. — We wszystkich życia stósunkach lis zawsze i wszędzie najusilniej się stara o zaufanie, aby z tego zaufania mógł korzyść i zysk dla siebie osiągnąć. — Lis pota-

kuje głupcom, chwali każdego, ludzi rozumnych unika, lęka się przenikliwości kobiecój, *gąski* za najsmaczniejszą przekąskę uważa, czepia się bogatych, od ubogich stroni; w charakterze jego jest wiele podłości, często się w psa zamienia.

PIES.

Pies ma wszystkie nieczne przymioty lisa z tą różnicą, że lis stara się o dobre imię i ostryżny jest w wyborze środków, pies na nic nie zważa, byleby zyskowną zdobycz pochwycił; lis zdradzi zaufanie, pies i rodzonego sprzedaje brata; lis chytrością zdobywa, pies z całą bezczelnością kradnie otwarcie; lis na woskowanych lubi ślizgać po posadzkach, pies przez błoto, przez najobrzydliwsze kloaki wciska się po osiągnięciu zamiaru.

Pies na cudzém nieszczęściu swoje szczęście buduje.

Smutną nakoniec jest ta prawda, że, gdy w czystym rodzie zwierząt pies obok wielu nیکczemnych własności posiada niezaprzeczenie i chwalebne przymioty, jako to: wierne przywiązanie do swojego chlebo-dawcy, pilność w strzeżeniu domu lub owiec i chętną pracowitość w usługach myśliwskich, — w rodzie ludzi zwierząt człowiek-pies *żadnemi*, *zgoła żadnemi* zaletami poszczycić się nie może.

PIES Z OGONEM.

Wszystko, co na ziemi hańbi i poniża, człowiek-pies z ogonem w sobie połączył. Religiją, filozofiją, cnotę, honor i miłość poczytuje za urojenia głupców. Łzy ludzkie to jego napój; jęk rozpaczony to harmonia jego duszy!...

Psa z ogonem poznasz łatwo po wiecznie ponurém i jakoby zakrwawioném spojrzeniu; — jest to ostrzegający odcień wrzącego w jego piersi piekła. Twierdzą, że kruki nie chcą pożerać ścierwa psów z ogonami, uważając je za zbyt podłe!



LISTY

JANA SKÓRCZYKIEWICZA

PISANE DO MNIE W ROKU 1827.

LISTY

JANA SKÓRCZYKIEWICZA

PISANE DO MNIE W ROKU 1827.

(I autor tych listów i osoby, o których donosi, — wszyscy pomarli na cholera.)

LIST I.

Kochany Augustcie!

Twoja nieobecność w Warszawie podczas mojego odjazdu pozbawiła mnie téj kłiwéj przyjemności, jaką znajdujemy w pożegnawczym uścisku drogiego nam przyjaciela. List twój odebrałem dopiero przed kilku godzinami; odczytałem go trzykrotnie, wdzięczny ci jestem za wyrażone w nim uczucia, o których szczerości wątpić nie mogę; — dziękuję ci za udzielone mi rady na moję nauczycielską pielgrzymkę, będę z nich korzystał, o ile okoliczności dozwolą. Żądasz łaskawie, abym do ciebie pisywał i bardzo często i bardzo wiele, a więc czy nie początek; jest serce ku temu, znajdzie się i wątek, i rozumiem, że dobrą miarą stanie się zadosyć woli twojej.

Wyjechałem z rynku Starego-Miasta o 9tej rano; ale ponieważ wstąpiłem jeszcze do kilku sklepów po małeńkie sprawunki, przeto dopiero o godzinie 10tej stanąłem u Jerozolimskich rogatki, z kądem oglądając się po raz ostatni na kochaną i niekochaną Warszawę, było mi żal i byłem rad, że z niej wyjeżdżał, — bo ileż tam uczuć moich pogrzebionych zostało a ileż się nowych zrodziło!...

Wspomnienia 18 miesięcy, które spędziłem w Warszawie, wiły się w mém sercu różnobarwną tęczą, umysł silnego doznawał wrażenia przez rozbiór świeżej a niezwrotnej przeszłości, i nie spostrzegłem, że już milę drogi ujechałem, — dopiero pobożny pokłon woźnicy zwrócił uwagę, że omijam miejsce, które z tobą w najuroczystszej chwili życia naszego zwiedziłem. Kazałem zatrzymać konie, zeskoczyłem z bryczki, zbliżyłem się do wizerunku Boga-Rodzicy, oko moje długo spoczywało na martwych wyrazach, — łza mężka cicho płynęła po licu.

W Raszynie idący na siano-zbiór chłopiek śpiewał: „da-na-da-na-da-na — jakżeś ty kochana.“ Dawno już nie słyszałem tej piosenki: — cześć pioskom kmiotków naszych, jest w nich głos ludu nieskalany naśladownictwem, głos pocziwój, swojackiej duszy.

Tarczyn przypadł na popas; dom zajezdny dosyć porządny, w gospodarzu poznałem pedelą byłego uniwersytetu warszawskiego. Mąż ten

znamienitego pożytku miał na pogotowiu rosół z francuzkami kłoseczkami, wołową pieczeń prosto z rożna, duszoną kapustę i mizeryą z ogórków. Kiedy byłem malcem, kochana matka moja przez nieograniczoną troskliwość, abym żołądka nie zaziębił, nakłaniała mnie bardzo często do ciepłego rosółu, którym do tyła się nasyciłem, że chyba na starość będę miał ku niemu żądanie, — a więc w Tarczynie rosół na stronę odstawiwszy, wdałem się w rożnowę z pieczenią, i gdym ten dyskurs ukończył, ani śladu nie było, dokąd trzyfuntowy kęs wołu odjechał. Kapusta okazała się nieodstępna przyjaciółką pieczeni, mizeryą zostawiłem dla tych szczęśliwszych, którzy nie znają jeszcze mizeryi; — mnie dała się ona pod różnemi postaciami we znaki, a w przeszłym roku w swój ostateczności aż mnie pod podeszwy łechtać zaczęła, — szczęściem że pocziwy szewc zakredytował lekarstwo. Panie, świeć nad duszą owego szewca; utonął bieżącego roku, przewożąc się podczas powodzi na Wiśle, a jakiś osieł, pełniący obowiązki wójta gminy, donosząc o tém wyższej władzy, napisał:

„Oprócz wielkiej szkody, poniesionej w drzewie, w kartoflach i sianie, nastąpił jeszcze w d. 27 b. m. przypadek niezwyčajny, gdyż albowiem przewoźnicy wbrew moim rozkazom zabrawszy więcej ludzi aniżeli należało, stali się przyczyną, że łódź na środku Wisły przewróciła się, skutkiem czego utonęło 3 obywateli, 7 ludzi, 2 ży-

dów i jeden szewc, który się niedawno z Warszawy do naszej gminy, jak się pokazuje na swoje nieszczęście, sprowadził.“ Biedny! ani do obywateli, ani do ludzi nawet po śmierci policzonym nie został. — Ależ podług zdania onego pełniącego obowiązki wójta gminy także obywatele i żydzi nie są ludźmi; wieleby o tém było mówić. Pomijając najniesprawiedliwsze definicye o ludziach i obywatelach, jadę dalej. Owoż tedy w Tarczynie skrzepiwszy mój żołądek, zapełniony, że woźnica nie głodny, gdy i konie wiązkę siana i cztery garnce owsa kubelkiem jednym i drugim wody popłóknęły, ruszyłem ku Grójcowi. Wielkim zaiste jest wynalazek, za pomocą pary po żelaznych sztabach z wiatrami się ścigać, ależ i na żwirowej drodze rączemi końmi podróż także leniwą nie jest i nie wiem, czy więcej jak dwa rozdziały z Latarni Czarnoksiężkiej*) przeczytałem, kiedy wjeżdżał na rynek miasta Grójca.

— Stój! cóż to za zbiegowisko ludzi? a sami żydzi! Zdaje mi się, że jakiś wóz obścapił.

— Proszę pana, może rabin z daleka przyjechał, a musi być sławny.

Dzieliąc domysł Józefa, zeskoczyłem z bryczki, — warto sławnego człowieka zobaczyć: — biegnę, rozpycham, cisnę się, aliści to nie rabin, lecz dwie beczki z rybami, do których się pół-

tora tysiąca izraelskiego plemienia z wrzaskiem: „*a! Fisch! a! Fisch!*!“ gwałtownie tłoczyło.

— „Czy to od jegomości te ryby?“ — spytał mnie rudobrody żydek.

— A dla czegoż się pytasz?

— „Bo jabym wszystkich razem zakupił, nie miałby wielmożny pan żadnego turbacyi, a tak to oni rozkradną, oszukać będą chłopą, ja jegomości zapłacę papierowemi pieniędzmi, albo grube srebro, — *rendels*.“

— I cóżbyś dał za te dwie beczki?

Ledwom wymówił „cóżbyś dał?“ jak mnie szarpnie żyd drugi, jak krzyknie „jelmożny panie, on *kapson*, on nie kupi, ja kupię;“ jak pochwyci trzeci, czwarty i piąty, ten w prawo ów w lewo, jak mnie zaczna szamotać i z rąk sobie wydierać, rozumiałem, że ani kawałka ubioru nie zostawią na mnie. Bóg łaskaw, że miałem trzcinę w ręku, a więc z przodu i z tyłu, na prawo i na lewo machać począłem, przez co uzyskałem wprawdzie 3 łokcie wolnego okręgu, ale nie pozbyłem się napaści.

— „Na co bić? — po co bić? dla czego bić? kto widział bić? — *Stille! Stille!* Co jegomość chce za te ryby.“

— — Spytaj się tego, do kogo należą a nie mnie.

— „*Wus ist das?*...“

— *Das ist das*, że to nie moje ryby.

— „*Hast du gesłyszal*, nie jego ryby a on

*) Powieść I. Kraszewskiego.

kijem będzie bić, czy to tutaj rozbój. Czy to waśon myśli, że na lesie albo że w naszego mieście nie ma ratusz. *Aj! waj! Gewalt! hat geschlagen! hat geschlagen! Gewalt!*“

W mgnieniu oka półtora tysiąca żydów i żydówek odbiegło wóz z rybami i razem mnie otoczyli; nadto ze wszystkich ulic i zakątków, ze wszystkich domów murowanych i drewnianych, biegli swoim na sukurs starzy żydowie i żydówki; bachorzęta jakby gradem rzucił; — wyrazy *Gewalt! hat geschlagen!* w jednej chwili urosły do potęgi 4000 głosów. Nie przeczę, że Achilles pod Troją, o ile Homerowi wierzyć można, goniąc Hektora i mordując tysiączne zastępy wrogów, cudów męstwa dokazał i nieulekłą zajaśniał duszą; — lecz niechaj i mnie świat odda sprawiedliwość, że do tchórzów nie należę, gdy ja jeden *Goj* na 4 tysiące Izraelitów uderzył!... Ileby guzów z téj bitwy wynikło, tego oznaczyć nie umiem, gdyż nieprzyjaciela osiągnąć nie mogłem; bo jak stada drobnych ptasząt przed lotem orła pierzchają, tak tłumy, zalegające mi drogę, przed każdym zamierzeniem trzciny szybko na obiedwie rozsuwały się strony, a w natłoku lecące na ziemię kapelusze, czapki i jarmułki były uzupełnieniem dowodów zwycięstwa! — O wy dziewiętnastego stulecia bardowie, gdzież wasze lutnie, że dotąd szczegóły téj walki są w usciech ludu obcemi! — Niechaj przynajmniej dziejopis rylcem surowej prawdy na kartach hi-

storyi objawi, zem pędząc przed sobą ludność niemal całego miasta, szczęśliwie stanął w ratunku; — niechaj potomności opowie, że gdy zastępcy pana burmistrza rzecz sporu objaśnił i rozdarł poły mojego surduta okazał, — na jego zapytanie: — „Którzyż to żydzi dopuścili się tego gwałtu?“ — żydowie do domów uciekli a kobiety do ryb wróciły; — a kiedym się obejrzał ku wyśledzeniu sprawców, już przed ratuszem nikogo z dorosłych nie było a i cma bachorzęta, — każde za swoim *Taterle* zmykając, — jednocześnie z przed oczu zniknęła.

Podziękowawszy panu zastępcy burmistrza za łaskawą chęć zadość uczynienia i zrzekając się protokołu sprawy, wsiałem na bryczkę i z zachodem słońca opuściłem Grójec, miasteczko dotąd słynne wielką liczbą żydowskiej ludności a więc handlem, — odtąd zaś przez moje zwycięstwo należące do historyi męstwa i odwagi, przy której czyny pod Mazagranem, gdzie trzysta Francuzów obroniło się dwunastu tysiącom Arabów, zaledwie na wspomnienie zasłużyć mogą; jakże bowiem jest maluczki stosunek męstwa 300 do 12,000 przeciw stosunkowi 1 do 4000.

Opis szczegółów dalszej podróży pomijam, bo nie są ciekawe i pilno mi jest do głównego celu; nawiasem powiem tylko, że nocowałem w Białobrzegach, w małym miasteczku, które się zaszczyca dobrze zbudowanym mostem na Pilicy,

i wygodną austeryą na piasku, a wstydzi się za lichy kościółek drewniany. Za Białobrzegami jadąc ciągle na prawo, widziałem ubogie wioski, trzypolowe gospodarstwa, lasy wytrzebione, karczem gorzałczanych podostatkiem. Nakoniec po dwóch popasach i trzech wytechniach zajechałem przed pałac w Nadymnicy. Lokaj w pięknej barwie, dobrze karmiony, wybiegł na kamienne wschody i przedewszystkiem zawiadomił mnie, że należało mi zajechać przed oficynę a nie przed pałac.

— A to dla czego, kochanku?

Bo pan zapewne przyjechał do zastępcy wójta gminy albo do komisarza.

— Przyjechałem do pana barona.

Ale taka bryczka przed pałacem stać nie może.

To wynieś z pałacu parawan i zasłoń ją, tymczasem prowadź mnie do swego pana.

Poszedł moją śmiałością zdziwiony lokaj i wrócił niebawem, mówiąc;

Pan baron prosi do kancelaryi.

W pokoju zarzuconym mnóstwem świecących drobnostek, w hebanowém krześle na biegunach, pan baron z amerykańskiem sygarem w ustach, z dziennikiem francuskim w ręku, kołysząc się i kiwając, przyjął mnie tak, jak się to przyjmuje zduna w miesiącu lipcu, gdy się z nim rozmówić mamy o podlepieniu pieców na zimę, to jest, nie prosząc mnie siedzieć, a sam

nie podnosząc się z krzesła; spytał mi się, jak się nazywam? kiedym wyjechał z Warszawy? — czy umiem po francusku? — Potem obejrzał pieczętkę na kopercie listu, który mu doręczyłem, — potem wyciągnął przed siebie nogi, przymrużył oczy i z najwyższą niedbałością mowy, cedząc i przeciągając wyrazy rzekł:

— *Mój* panie Korczykiewicz....

— Nazywam się Skórczykiewicz.

— Jeszcze gorzej — ale mniejsza o to, Kurezy czy Skórczykiewicz, — tu zaszła pomyłka ze strony pana radcy; ja prosiłem go, aby był łaskaw przysłać mi guwernera Francuza, a on przysłał mi polskiego nauczyciela Skórczykiewicza.

Mości baronie! pomyłka jest obustronna; bo i pan radzca zaręczał mi, że znajdę znakomitego i dobrze myślącego obywatela, — a ja znajduję siedzącego, kiwającego się, sztydzącego z mojego nazwiska, ubliżającego mi pana barona, z małą środkową literą przemianą.

Na te wyrazy baron się zerwał z krzesła, zarumienił i rozdierając kopertę listu, treść szybkimi przebiegł oczyma.

— Przepraszam, szczerze przepraszam; obrazając pana, który jesteś znakomity charakterem, a jak się z listu dowiaduję, znakomity i rozległą nauką, — bardzo zbłądziłem; — proszę, racz mi, panie, winę darować.

— Chętnie, panie baronie, poprawiam środ-

kową literę i proszę o puszczenie w niepamięć tego, co zaszło.

— A więc podaj mi pan rękę. Pan byłeś w zagranicznych uniwersytetach i bawiłeś lat kilka w Paryżu i w Londynie, — pan mówisz i po angielsku?

— Tak jest.

— Panie Skórczykiewicz, umówiłeś się z radcą na 150 dukatów; — z listu dowiaduję się, że masz niewidomą matkę, którą wspierasz, masz braci, którym w szkołach pomagasz; przyjmij więc podwojenie téj sumy, a po sześciu latach, spędzonych przy moich dwóch synkach, przeznaczam panu 2,000 dukatów gratyfikacyi.

— Będę się usilnie starał, abym usprawiedliwił tak szlachetną rozrzutność pana barona.

— Nie wątpię, że usprawiedliwisz, — ale na samym wstępie wyświadczyć mi łaskę osobliwszego rodzaju; — rzecz się tak ma. Ja nadspodziewanie prędko zostałem uleczony z występnego wstrętu do nauczycieli Polaków, — dla mojej żony potrzebne jest silniejsze lekarstwo. Przedstawię cię więc jako rodowitego Francuza, nazwię cię np. *Joseph Marie Balzac* — a gdy się nauczysz ciebie cenić, powiem jój dopiero, że jesteś Polakiem, że się nazywasz Skórczykiewicz.

— Panie baronie! ten żart obraziłby żonę pańską, może na zawsze.

— Nie, ona ma dobre serce, nie zwykła

długo chować urazy; zaręczam, że ją potrafimy przeprosić, później będzie się z nami wspólnie śmiała. Dzisiaj, dopiero przed godziną, sprzeczała się z jednym z naszych zacnych sąsiadów, że polscy nauczyciele nie są zdatnymi do wyższego kształcenia dzieci rodzin znakomych, że w polskich nauczycielach jest brak delikatniejszych uczuć, które tylko w francuzkich guwernerach napotkać można.

— Kiedy więc pan baron pewny jesteś, że panią baronową przeprosić potrafimy, lekarstwo na tak niecny przesąd nie zaszkodzi; idzie tylko o dzieci, aby przemiany mojego nazwiska nie stały się na przyszłość przyczyną braku zaufania w mój moralny charakter.

— Dzieci nasze są u babki o mil 12, a zanim powrócą, już będziesz Skórczykiewiczem.

Stało się więc na tém, że dopóki dzieci nie przyjadą, mam się nazywać Balzakiem. Jakoż w kilka minut potem zostałem baronowej przedstawiony jako guwerner Francuz, *Joseph Marie Balzac*. Nie uwierzysz, jak się pani baronowa ucieszyła, słysząc moje (przybrane) nazwisko, i jak szaloną okazała radość, gdy jój mąż powiedział, że jestem rodzonym bratem autora tytu francuzkich powieści i romansów. Do godziny 1ej z północy nie mówiliśmy o niczem więcej jak o powieściach mojego brata: — baronowa przypominała sobie tysiące z Balzaca ustępów, jam jój w pamięci najszczęśliwiej do-

pomagał. Baronowa nie liczy lat 30, jest jeszcze cudowną pięknoscią; przez jej przezroczą pleć twarzy spostrzeżesz grę każdego uczucia, w jej wielkich oczach błyszczy ognista dusza, — na ustach igra niewysłowna lubość, — cała postać w szeleście jedwabnego stroju nęci wszystkie zmysły. W jej rozmowie mało jest logicznego wywodu, ale jest cała potęgą kobiecego instynktu. Dostrzegłem w niej także zalotność; drobną rączką poprawia często podwójne szpilki w warkoczach złotego włosa, który jest tak prześlicznym, że każda królowa dałaby za niego połowę brylantów swojej korony; — gdy się uśmiecha, widzisz białosć zębów nieporównanego na świecie połysku, i dla tej to zapewne przyczyny jej karminowe usteczka tak często do śmiechu się budzą.

Pan baron ma niezaprzeczenie dobre i szlachetne serce, umysłowość jego, obciążona błędami arystokracji urodzenia, wznosi się jednak niekiedy na wyższe stanowisko; — na wiadomościach naukowych nie zbywa mu, ale nie są uporządkowane. Zdrowie jego wątłe, wycieńczone, — powierzchowność ujmująca.

Oto masz główny zarys obojga baronostwa; — moich przyszłych uczniów pragnę jak najrychlej zobaczyć, podobno że są rozpieszczeni przez babkę; — będzie więc nie mało około nich pracy, ale ufam sobie, że mojego sumienia nie obrażę.

Otóż i wszystko, co dzisiaj donieść ci mogłem. — Bądź zdrow, kochaj mnie na zawsze, bo moje serce bucha dla Gucia wiecznym płomieniem wdzięcznego przywiązania i nieograniczonej życzliwości, które na pergaminie przyjaźni zapisując, imieniem i nazwiskiem stwierdzam.

Jan Skórczykiewicz.

Pisałem w Nadymnicy dnia trzeciego po zwycięstwie Grójeckim, roku — jeżeli się nie pomylił, bo ja za nich nie ręczę — 1824.

LIST II.

Kochany Auguście!

W poprzednim liście czytałeś zawiązanie mojej komedyi; nie sądziłem wówczas, że już dzisiaj doniosę ci rozwiązanie nadspodziewane — i zasmucające.

Przed ośmiu dniami pisała babka, że obadwaj wnucy chorowali na odrę i że pragnąc, aby ich zdrowie przed rozpoczęciem nauk ustaloném zostało, odwiezie ich dopiero w końcu miesiąca lipca. Oświadczyłem natychmiast gotowość i chęć jechania do rekonwalescentów, ale pani baronowa nie pozwoliła na to, twierdząc, że jej mama mogłaby się obrazić nasłaniem obcego człowieka i że za kilka dni sama pojedzie. Tymczasem korzystając z wolnego

czasu, codziennie po godzin 3, 4 a czasem i 6 poświęciła nauce języka angielskiego, — po większej części wtenczas, gdy mąż odjechał na polowanie. Ja, mniemany Balzac, byłem jej nauczycielem. O ile tylko dozwoliła pogoda, odbywaliśmy lekcye w ogrodzie, który ma czarujące ustronia, milczące gaiki, brzozowe mosty, szemrzące strumyczki, cieniste altanki, świerkowe pagórki, doliny z płaczącymi wierzbami, a nawet chatkę pustelniczą, zgoda wszystkie warunki, przez czułe serca do słodkiego dumania poszukiwane.

Dzisiaj już słońce swoje pierwsze promienie w kroplach porannej rosy skąpało, piękne zakresy (clomby) przepysznych kwiatów rozesłały na cały ogród balsamiczny zapach, gdy baronowa w batystowém i białém jak śnieg ubraniu, z lokami *à la Clotilde*, trzymając w ręku rozkwitujące róże i gramatykę angielską, przybyła pod turecki namiot, na skoszonej rozpostarty łące. Na widok — pomimo skończonych lat 30 — bardzo jeszcze nadobnej uczenicy mojej przybrałem powagę nauczyciela, zająłem na kieszonkowy zegarek i wymówiłem z grzecznością:

Pani baronowa jesteś przykładną w pilności naukowej, — jeszcze brakuje minut ośm do godziny szóstej.

— Mój panie Balzac, chwile spędzane w two-

jém przyjemném towarzystwie radabym w dwójnasób przedłużyć.

— Jest to najwyższa dla nauczyciela pochwała.

Zamieniliśmy następnie jeszcze mnóstwo wyrazów, w dwoistém znaczeniu wyrzeczonych, do czego język francuzki bardzo jest łatwy, a czego w mowie polskiej gładko powtórzyć nie można. Baronowa usiadła na sofie, perskim kobiercem pokrytej, jam zajął miejsce po lewej stronie na małym stołeczku z kory dębowej — i rozpocząłem lekcję.

— Koniugacya słowa *To walk (marcher)*, której się pani wczoraj nauczyłaś, jest w języku angielskim koniugacyą wszystkich słów regularnych; przejdziemy więc dzisiaj do słów nieregularnych.

— Panie Balzac! — później o słowach nieregularnych, — czuję lekki ból głowy i ścisnienie serca.

— Pani pozwoli, że przyniosę z pałacu szklankę zimnej wody.

— O nie — ja chcę... ja mam panu uczynić kilka zapytań.

— Co do słów regularnych?

— Nie, nie, — daj pan dzisiaj gramatyce rekracyą, — dzień jest zbyt piękny, zbyt przemawiający do uczuć, aby go gramatycznymi studiami zapełnić. Powiedz mi pan raz, kiedy to namiętność przechodzi w

Nieprzygotowany na taką lekcję, chwilowo zamilkłem, ale po krótkim namysle dałem następującą odpowiedź:

— Namietność przechodzi w rozpacz rzeczywistą, gdyśmy jej poświęcili uczucie powinności.

— Oh! rozumiem pana; ale czyż serce zawsze na rozkaz zamilknie?...

— Tego rodzaju cierpienia są tylko chwilowe, późniejszy spokój duszy nagrodzi je swoim.

— Dla was mężczyzn przeminą, dla kobiet starczą do grobu.

— Cierpienia z usilnością żywione zabijają, ale gdy obowiązki żony i matki...

— Otóż od gramatyki przechodzisz pan do prelekcji moralności; panie Balzac, jesteś Francuzem a nadto młodym, abys był pedantem.

— Pani mylnie użyłaś wyrazu pedant.

— Być może, ale i pan naumyślnie zrozumieć mnie nie chcesz; — miałaby moja życzliwość być panu natrętną?...

— Życzliwość pani jest przewyższeniem marnego szczęścia.

— O! ta życzliwość jest wielką, jest nieograniczoną.

Tu baronowa uściśliła moją rękę, a jej niem błyszczące oczy na wskroś mnie prze-

— przebac, że we mnie uszanowa-

nie stósunków, które są przedziałem pomiędzy panią a mną, przewyższy każde inne uczucie.

— Dla związku serc żaden na świecie nie istnieje przedział.

— Pani baronowa uniosłaś się jedną chwilą, ale za tą chwilą są godziny, dni i lata zimnej rozwagi, żalu i zgryzoty.

— Kobiety za jedną chwilę oddają chętnie i życie.

— Za chwilę poświęceń ale nie za chwilę zapomnienia.

— Silne uczucie nie jest chwilą zapomnienia.

— Przebac, pani, że w silne uczucie tutaj uwierzyć nie mogę; — do silnych uczuć potrzeba rozmyślnego ocenienia osoby, którą uczuciem naszym uszczęśliwić mamy. Co do mnie, nie wiem nawet, kiedy miałem sposobność zasłużyć na zaufanie, nie dopióroż na wzbudzenie silnego uczucia.

— Jesteś Francuzem, człowiekiem honoru i — dodała ciszej — miłości.

— Czyliż pani Polakom tych przymiotów odmawiasz?

— Pod tym względem guwerner polski *nigdyby* mojego zaufania nie zyskał.

— Więc gdybym ja był Polakiem, uczucia pani *nigdyby* tak daleko posunionemi nie zostały?

— Panie Balzac, zapewniam pana, że *nigdy*.

— Cofnij więc pani swoje dotychczasowe dla mnie uczucia; — z woli pana barona, na uleczenie twojego, pani, przesądu, — przybrałem nazwisko Balzaca; — jestem zaś istotnie Polakiem, nazywam się Skórczykiewicz.

Te ostatnie wyrazy, wymówione po polsku, jasno i dobitnie, były śmiertelną kulą, trafiającą i w silne uczucia i w zaufanie pani baronowej.

Usta zsiniały, lica pobladły, — padła zemdlona. Szczęściem że strumyk był niedaleko i że miałem zajęczy kapelusz, który posłużył mi wybornie do zaczerpnięcia potrzebnej ilości wody, aby zmysły zemdlonej pani powrócić.

Uczucie powinności i uczucie religijne zgasiło już od dawna w sercu i w duszy baronowej, pozostała tylko bojaźń niesławy, i ta to bojaźń, chociaż podrzędna ale sprawiedliwa, niszcząc całą emancypacyi teorią — ów brudny plon z bezwyborowego czytania francuzkich romansów — i zwyciężając obrażoną dumę absolutnej pani i pięknej kobiety, błagalną wywołała prośbę. — Przyrzekłem jej, że to całe zdarzenie przed baronem i przed światem zamilczę; — radbym był jednakże, aby się polscy panowie dowiedzieli, z jakich to przyczyn matki ich dzieci dają francuzkim guwernerom pierwszeństwo przed polskimi nauczycielami. Upoważniam cię więc, abyś, zmieniając nazwiska osób i miejsc, listy moje drukiem ogłosił. — Aż do Białobrzegów może wszystko bez od-

miany pozostać, ale za Białobrzegami należy czytelnika w inną poprowadzić stronę i tak majaczyć, aby i najprzebieglejsza ciekawość na prawdziwy ślad nie trafiła.

Spostrzegam w tę chwilę wracającego z polowania barona; bywaj mi zdrów, mój drogi Augustcie, kochaj mnie i pierwszą pocztą napisz mi, że mnie kochasz, bo to jest więcej niż przyjemnie, słyszeć, że jesteśmy kochani przez tych, których z uczuciem rzetelnego szacunku szczerze kochamy.

Gniotę ci żebra i do serca przytulam.

Jan Skórczykiewicz.

26 Czerwca roku 18....

GORZKIE WSPOMNIENIE

SŁODKIÉJ NADZIEI.

GORZKIE WSPOMNIENIE

SŁODKIĘJ NADZIEI.

Powieść z trzynastomiarowym wierszem dedykacyjnym,
z ostrzeżeniem dla czytelników, przy którym się
post-scriptum znajduje.

Ostrzeżenie dla czytelników.

Przy czytaniu poniżej zamieszczonej powieści zabrania się śmiechu, ziewania, głośnego czyszczenia nosa i wszelkich nieprzyzwoitości; albowiem o ile śmiech z cudzych nieszczęść obraża — o ile ziewanie jest wyraźną dla autora *impertynencyą*, o tyle głośne wycieranie nosa i wszelkie nieprzyzwoitości są złego wychowania oznaką; a więc jak wyżej, tego wszystkiego zabrania się.

P. S. Osoby, które się zająkają lub gładko i zrozumiale czytać nie umieją, raczą się wstrzymać od popisywania się ze swoim niezdarnym

talentem, gdyż przez podobne wady można z ujmą własnej *[reputacji]* i najdzielniejszemu autorowi zaszkodzić.

Autor.

Wiersz dedykacyjny.

Maryniu!

Dla ciebie zwłok starosty rok cały szukałem,
Dla ciebie w trybunale już proces przegrałem,
W apelacji też słaba nadzieja się kręci,
Niechże-ć przynajmniej dzieło wielbiciel poświęci —
Przyjm je przez słodką pamięć, która serce pęta,
Bądź zdrową, o luba! całuję rączęta.

Skłopotany podnożek
i osmucone pachole
Au. Wi.

Już trzeci tydzień bawiłem w dalekich od-
wiedzinach u mojej ciotecznej siostry, Balbiny
K***, pod Kamieńcem Podolskim w Białosęku,
gdy w dzień świąteczny, wtoczyła się na dzie-
dzinie żółta, na czerwonym polu suto herbo-
wana, w pięć gniadych koni zaprzężona, po-
czworna kareta z woźnicą w galonach, z lo-
kajem w galonach i z chłopczykiem po kozacku
ubranym. „Pani staroscina Bawolska!“ z rado-
ścią zawołała moja siostrzyczka, poprawiła man-
tyli i posłała po męża, który przed stajniami
pokazywał siwego ogiera krwi czysto tureckiej.

— „Wiesz też, braciszku, że staroscina ma wnu-
czkę Marynię, bardzo ładną i bardzo bogatą?“

Zaledwo siostrzyczka zdążyła tych słów do-
kończyć, kareta stanęła przed dworem, galonowy
lokaj i butny kozaczek otworzyli drzwiczki, spu-
ścili stopnie, — a rumiana, dobrej tuszy, sę-
dziwa pani w kanarkowej jedwabnej sukni,
z blondynowym toczkiem na czarnej jak sadze
w kominie peruce, w niebieskich atlasowych,
pasową pelą [haftowanych pantofelkach, zesunęła
się w objęcia Balbiny, a za nią piętnastoletnie
dziewczątko jasnego włosa, z modrém spojrze-
niem, lekkie i lube jak zefir majowy, w białej
sukience z różową przepaską, istny anioł, wnu-
czka, drobną nóżką dotknęła ziemi. Po zwy-
kłych najczulszych przywitaniach, po zamianie
kilku tuzinów kobiecych grzeczności, staroscina
usiadła na kanapie, wnuczka na krześle tuż obok
babki, a ja stanąłem tuż obok wnuczki.

— Prezentuję pani starościnie mojego cio-
tecznego brata Au. Wi., Wielko-Polanina, od lat
dwóch w Królestwie mieszkającego.

— Pan więc pochodzi z Poznańskiego?

— Tak jest, pani.

— Czy zna wojewodzinę *...?..

— Kto taki?..

— Czy pan znasz wojewodzinę *...?..

— Znam bardzo blisko.

— To mnie cieszy nadzwyczajnie. Czy zdro-
we córki? czy poszły za mąż?..

— Jeszcze nie uczyniły wyboru.

— Panny bogate, pięknego urodzenia, młodsze były wcale przystojne; prawda, że to już kilkanaście lat, jak ich nie widziałam.

— Czas jest wielkim nieprzyjacielem płci pięknej.

— *A propos*, któż pana rodzi?..

Wyreńczyła mnie w odpowiedzi moja siostra. Starościna rozpoczęła z nią szeroką o mojej matce rozprawę genealogiczną; nadszedł mąż Balbiny ze swoimi sąsiadami, powtórzyła się scena przywitania, ale naturalnie z pewną odmianą; wszczęto wzajemne udzielanie nowin ze sąsiedztwa; mnie zaś przypadło w podziale szczęście rozmawiania z wnuczką pani starościny; dowiedziałem się, że była z babką tego roku w Warszawie; że tańczyła podczas karnawału; że brała lekcye śpiewu; że namiętnie lubi muzykę; że zna powieści Kraszewskiego; że czytała *Stepy i Koliszczynę* przez Tarszę; że wczoraj zaczęła czytać *Indianę* [przez George Sand; że hoduje kwiaty; że ma brata Erazma, który jest chory i nakoniec że babka mieszka w Jeżowój-Górze. Na powszechne prośby panna starościanka śpiewała przy fortepianie; — chwalili wszyscy obecni, jam był zachwycony słowiczym głosem Maryni. Podano owoce, wino, lody, ciasta i herbatę. Starościna odjechała. Mąż Balbiny zasiadł z sąsiadami do wista ze szturmem—

aby się nie zgrywali, więc tylko po rublu asygacyjnym.

— A cóż, braciszku, jak ci się podobała Marynia?

— Bardzo.

— Proszeni jesteśmy z tobą na czwartek, na urodziny Maryni.

— Ze mną?... ja miałem w czwartek wyjeżdżać.

— Wiesz dobrze, że byłoby mi bardzo przyjemnie, gdybyś dłużej u nas zabawiał; przecież jeżeli masz nieodzowny interes na ten wełniany jarmark warszawski...

— Zupełnie nieodzowny nie jest, ale chciałem być.

— Mnie się zdaje, że jeden dzień nie czyni różnicy (Balbisia uśmiechnęła się).

— Wy kobiety zaraz myślicie...

— Ja nic nie myślę.

— Czego się więc uśmiechasz?..

— Ja podziwiam elektryczność twojego serca.

— A więc pojedę.

— Braciszku! zostań dla mnie i dla Maryni; nie masz się czego wstydzić, Marynia jest najpiękniejsza w całej naszej gubernii, a posag jej wynosi do miliona.

— Kopijek czy groszy?

— Później się dowiesz.

Na tem się skończyła dnia tego o Maryni rozmowa; powiedziałem Balbisi *dobra noc* i uda-

łem się do ogrodu; — wistowi nowego rozpozczęli robra.

W czwartek o 1éj z południa Balbisia w atłasowej sukni, w pół-czepeczku z piórkiem i z kwiatkami; pułkownik, jéj mąż, w granatowym fraku z czerwoną legii honorowej wstążeczką, z nażezoną czupryną; ja w czarnym fraku z wyolejkowaną głową, wsiedliśmy do czworokonnego pojazdu; — lokaj stanął za pojazdem, wąsaty Józef palnął z bicia, pułkownik upominał, aby ogiera *nie sforsował*; ruszyliśmy małym kłusem. O godzinie 2giéj zajechaliśmy do Jeżowój-Góry.

W obszernym pokoju bawialnym przyjęła nas starościna z wielką uprzejmością; pułkownikstwo powinszowali Maryni po polsku, ja zaś ułożony przez drogę komplement dla starościny i życzenia dla wnuczki wypaliłem w języku francuzkim, co, jak uważałem, bardzo się starości nie podobało.

Zbliżył się młodzieniec wysoki, blady, z wyrazem cierpienia na twarzy; pułkownik chwytając mnie za rękę wyrzekł: „Mój szwagier, pan Au. Wi.“ wykręciwszy zaś twarz na ukos, dopełnił: „Pan Erazm..... wnuk pani starościny.“

— Pan dawno gościsz w naszych stronach?.. zapytał młodzieniec.

— Od trzech tygodni.

— I nie mieliśmy przyjemności widzenia pana.

— Przybyłem w odwiedziny do mojej siostry i szwagra z zamiarem zabawienia dni kilku, dla tego nie szukałem znajomości, które po rychłej rozłące obudziłyby tęskność.

— Ale może stałyby się zawiązkiem przyjaźni na przyszłość.

— Poczytam się za najszcześniejszego, jeżeli dzień dzisiejszy okaże się dla mnie życzliwym.

— Jesteśmy tak dobrze o panu uprzedzeni, że od pana tylko zależy będzie zatrzymanie w pamięci naszej znajomości, którą *propagować* na przyjaźń naszym jest życzeniem.

Dalsze cedzenie grzecznych wyrazów przerywali co chwila przybywające panie i panowie podolscy; karetą za karetą zjeżdżały się tłumnie; młodzież postacią, a nie wątpię że i duchem dzielna, ze wszystkich stron kawalerskimi przybywała kocykami, kabrioletami i wolantami; powinszowania i życzenia w różnorodnych animumu sferach, a wszystkie jednej treści, składano czarującej Maryni. Nastąpiło wielkie śniadanie (zegar wskazywał godzinę trzecią z południa); wszczął się gwar głośny, szerzyły się rozmowy o nowinach politycznych, o koniach, o wełnie, o psach, o strojach, o angielskich ogrodach i o wiedeńskich powozach; z każdego przedmiotu było potrosze, tylko literatury nikt nie zaczął. Po przewybornych a sowitych zakąskach roznoszono karty do wista; matrony i młodsze mężatki zajęły miejsce na kanapach

i fotelach, panny usiadły sznurkiem na taboretach, młodzież kupiła się za pannami, ja sta-
nałem przypadkowo za taborecikiem panny Ma-
ryanny, niezaprzeczonej królowej całego zgro-
madzenia.

„*Qui est ce Monsieur?*“ posłyszałem szepty
pomiędzy młodzieżą. Erazm odpowiadał i za-
poznał mnie z niektórymi paniczami.

Aby dłużej nie nudzić czytelnika, powiem,
że wszystko odbywało się w takim porządku,
jak się zwykle odbywa we wszystkich domach
obywatelskich przed obiadem w dniu imienin
lub urodzin, a i obiad, który się rozpoczął o 7-
ej, odbył się jak inne tego rodzaju obiady i skoń-
czył się późno w wieczór. Po obiedzie zaczęły
się tańce. Do pierwszego z Marynią mazura
uprzedził mnie Narcys, syn marszałka, na całe
Podole *Prima Donna* płci męskiej; lecz zosta-
łem nagrodzony wyborem Maryni, która przy
robieniu figury mnie swoją drobną rączkę po-
dała. Drugiego mazura ja już z Marynią tań-
czyłem, a gdyśmy potem stanęli do kontredansa,
odezwałem się do niej głosem wedle potrzeby
umiarkowanym ale drżącym:

— Mój powrót do Warszawy staje się dla
mnie z każdą chwilą bolesniejszym ciężarem; —
pozwól, pani, abym go zwiększył a zarazem
abym ulżył marzeniem, że tutaj czasem zbu-
dę przyjemne wspomnienie.

— Wspomnienia są dla wspominających czę-
stokroć niebezpieczne.

— O jakże szczęśliwy będzie, kogo pani, cho-
ciaż w najłżejszym przelocie myśli, tą winą za-
szczycis.

— W Warszawie łatwo jest o takiem szczę-
ściu zapomnieć.

— Jabym je za najdroższą życia mego pa-
miątkę poczytał.

— Więc pan przyjmij tę winę.

— Pani nie dorzucaj iskry, gdzie ogień jest
nie ugaszony.

— Pan zwiedziłeś Włochy; czy to prawda,
że lawa, którą Wezuwiusz wyrzuca, bardzo prędko
stygnie?

— W łonie Wezuwiusza wre wiecznie.

— A któż się o tém przekonać może?

— Dla pani nie jest to żadną wątpliwością.

— Przeciwnie, gdyż pewność byłaby dla
mnie więcej niż przyjemną.

Zabrzmiała muzyka, rozpoczęliśmy kontre-
dansa.

Upojony wyrazami Maryni, tańczyłem bez-
przytomnie; młodzieńcy podolscy wyśmiewali
moję mniemaną kontredansową nieumiejętność.

— Marynia odgadła przyczynę mego roztar-
gnienia i szeptanemi słówkami przypominała
następstwa w każdej figurze a gdyśmy skoń-
czyli, z lubym uśmiechem wyrzekła:

— Pan podczas kontredansa myślą swoją daleko od nas błądziłeś.

— Zwodnicza nadzieja uniosła mnie na najwyższy szczyt szczęścia a więc istotnie daleko błądziłem.

— W tak szybką podróż należy brać przewodnika.

— Czy rozum?..

— Ufność.

Marynia pobiegła do babki, w mojem sercu aniołowie zaśpiewali hymn zwycięstwa.

Przepraszam najłaskawszych i najszanowniejszych czytelników płci obojęd, że następującą z kolei częśćkę mej powieści, jako jedną z trzynastu pamiątek mojego życia, przed ciekawem okiem publiczności zasłonę, nie chcąc rozwoju uczuć ani też ogniem miłości technących wyrazów na szyderstwo obojętnych, zimnych, bezdusznych bałwanów ani też na obmowę zazdrośnych kobiet narażać; — a więc proszę od dnia tej rocznicy urodzin Maryni trzy miesiące i dni jedenaście bez pytań pominąć a grzecznie i cierpliwie posłuchać, jakiem było moje położenie w domu pani starościny w dniu 12 września, jaki mnie spotkał zaszczyt zaufania, jak rozmaite trafiły mnie przygody i jakie ztąd skutki wynikły.

W dniu 12 września starościna Bawolska, Marynia i staroście wyroili sobie w głowie, aby mnie uprosić, żebym ja na pogranicze Szłaska, do Ostrzeszowa pojechał, tamże w grobach ko-

ścioła XX. Bernadynów nieboszczyka starostę wyszukał, do kościoła w Jeżowej-Górze za Kamieniec Podolski (nad rzeką Prut) *cum omni splendore* sprowadził i w grobie familijnym Bawolskich zamurował. Wyrażne Boskie skaranie i oczywisty żart Mefistofelesa, — pomyślałem w duszy. Ale ponieważ Marynia uroczych ocząt błagalnem na mnie rzuciła spojrzeniem; — ponieważ staroście na przyjaźń mnie zaklął, abym go w tak smutnej powinności wyręczył, — sam bowiem, będąc po głodowej kuracyi, lękał się osłabionego zdrowia rozczuleniem wynajdywania zwłok nieboszczyka dziadka narażać; — ponieważ starościna nakoniec bez ogródki objawiła, że ta znamienita usługa dla familii prawo moje do ręki jej wnuczki ustali, nie pozostało mi przeto nic więcej, jak zwyciężając żal oddalenia się na czas długi od Maryni, rzeczzone polecenie wbrew moim o pogrzebach wyobrażeniom najchętniej, z wdzięcznością przyjąć i za dowód łaski i zaufania, za dobrodziejstwo uważać.

Płci piękna! moc waszych wdzięków jest wszechwładną. Maryniu! twoje każde życzenie zawsze było dla mnie wyrokiem bez apelacyi, zawsze pod natychmiastową egzekucyą.

W cztery tygodnie później, dnia 11 października, opatrzony pozwoleniem właściwych władz do sprowadzenia zwłok ś. p. Jana Kazimierza Wojciecha, trzech imion starosty Bawolskiego, przyjechałem do Jeżowej Góry na pożegnanie,

które to pożegnanie trwało dni pięć, bo dopiero 16 października szepnęła Marynia: „wracaj najspieszniej o luby!“ — „słowa mojego dotrzymam“ wyrzekła starościna, podając rękę do pocałowania.

Chociaż podróż daleka, przecież starodawnym zwyczajem wyjechałem własną telegą i własnymi końmi. Drogi były błotniste, dni późnej jesieni znacznie krótkie, upłynęło więc dwa tygodnie pełna, niżeli do Warszawy przybyłem. W Warszawie obstałowałem dwie trumny, jedną dębową, angielską blachą wybitą i pakiem wewnątrz wylaną, drugą zwierchnią, machoniową z srebrnymi antabami, blachami, frendzlami z malowanym herbem Bawolskich, zgoda ze wszystkimi wysokiemu urodzeniu nieboszczyka należnemi drobiazgami i szykanami. Dzięki usłudze rzemieślników, kunsztmistrzów i artystów warszawskich rzeczono trumny w przeciągu dni ośmiu za wyliczeniem 1500 złp. odebrałem. Najawszy pod trumny osobną żydowską furmankę, ruszyłem 4 listopada; — a że do Kalisza droga żwirowa a od Kalisza jeden już tylko dzień podróży, przeto 9 listopada, w dzień Teodora Męczennika, stanąłem w Ostrzeszowie (proszę pamiętać: w dzień męczennika) w domu zajezdnym pod kogutem czyli gołąbkim, tego rozpoznać nie mogłem, bo genialny talent gardził niewolniczą formą, gdy owego ptaka malował. Znużony podróżą, rychło udałem się na spoczynek. Nazajutrz już o godzinie 8ej byłem w ko-

ściele; po wysłuchaniu mszy ś. zapytałem w zakrystyi o ks. gwardyana.

— Wyjechał do Poznania na dwa tygodnie, odrzekł pokorny laik Prosper. — Któż miejsce ks. gwardyana zastępuje? — Ksiądz Bonifacy. — A ksiądz Bonifacy czy jest w klasztorze obecny? — Właśnie poszedł do swojej celi. — Ktorąż celi ks. Bonifacego? — Pierwsze drzwi za celą ks. gwardyana. — A któraż celi jest ks. gwardyana?.. Tuż obok refektarza. — Gdzież jest refektarz?!.. — Pan dobrodziej zapewne obcy a więc zaprowadzę. — Proszę!

Idąc długim korytarzem, minęliśmy na prawo cel ośm, na lewo cel pięć, wschody na chór prowadzące, znów cel cztery, potem skręciliśmy w drugi korytarz i przed trzecimi drzwiami na lewo zatrzymał się mój przewodnik, mówiąc: „Oto jest celi ks. Bonifacego.“

— *Laudetur Jesus Christus!* odezwałem się wstępując do celi ks. Bonifacego. — *In saecula saeculorum amen* — odpowiedział dobrej tuszy, sędziwy zakonnik.

— Czy z ks. Bonifacym rozmawiam?

— Tak jest.

— Nazywam się Au. Wi., przybyłem z Podola, upoważniony przez familią Bawolskich, — ażebym zwłoki ś. p. Jana Kazimierza Wojciecha, trzech imion starosty Bawolskiego, znajdujące się w grobach tutejszego kościoła, po żałobnym za duszę nieboszczyka nabożeństwie, ztąd wy-

prowadził i odwiózł je do grobu rodzinnego w Jeżowej Górze na Podolu. Oto jest na moją osobę sądowe upoważnienie od rodziny; oto jest paszport, tożsamość mojej osoby legitymujący.

— Dobrze to jest wszystko, ale w nieobecności ks. gwardyana nie wiem, jak się mam w tym interesie porządzić.

— Pani starościna przesyła przezemnie 1000 złp. dla klasztoru a osobno 500 złp. na żałobne nabożeństwo przy wyprowadzeniu zwłok starosty.

— Dobrze to wszystko, bardzo dobrze; właśnie jesteśmy w potrzebie, bo dach zaczęliśmy na kościele reperować a i w dzwonnicy drzewo jest spróchniałe.

— Raczy więc ks. dobrod. przyjąć te obiedwie sumki i rozkazać łaskawe wynalezienie zwłok nieboszczyka, jak niemniej zarządzić nabożeństwo.

Domawiając tych słów odrachowałem hollenderskich ważnych dukatów 75 z dopłatą po gr. 15 na każdym dukacie. Ks. Bonifacy stuknąwszy w każdą sztukę złota, głową kiwnął na znak, że nie masz w sumie zmyłki, poczem nisko się pokłonił, pieniądze do szuflady zgarmał i na klucz zamknął.

— Jaśnie wielmożny pan może pozwoli sobie służyć małym śniadankiem; mam ja tutaj śledzia z Krotoszyzna, znajdzie się i wódeczka; na co nas stać w klasztorze.

— Każdego rodzaju gościnność jest zawsze miłą.

— Mieliliśmy i wędzone kiełbasy, ale ks. gwardyan wziął wszystkie trzy na drogę.

— Niech będą ks. gwardyanowi na zdrowie; dla mnie dobry i śledź, zwłaszcza że lubię śledzia, a zapewne niezgorszy, kiedy z Krotoszyzna.

— Pan burmistrz bardzo je zachwalał i on to istotnie sam te śledzie kupował, będąc w Krotoszyźnie.

Jakkolwiek śledź był niezaprzeczony Szwed trzygroszowy, jakkolwiek podano mi na zakąskę bułeczkę, z pewnością przed ośmioma dniami upieczoną, i wódeczka nigdy się z alembikiem nie widziała, — przez grzeczność jednakże wszystkiemu próbowałem.

— JW. Pan przebaczy, że niczem lepszym służyć nie mogę.

— Dobre serce najwykwintniejsze przysmaczki zastąpi.

— Co się tyczy interesu pańskiego, chociaż ks. gwardyan jest nieobecny, biorę to już na moją odpowiedzialność; ale uważam, że do wydania zwłok potrzebne są pozwolenia: *pro primo* konsystorza — *pro secundo* regencyi poznańskiej, a kto wie, czy nawet nie ministerium z Berlina, — bo bez dopełnienia tych formalności upewnić JW. pana mogę, że i sam ks. gwardyan nie byłby w stanie przychylić się do życzeń

JW. pana, mamy bowiem surowe w téj mierze przepisy.

Gdyby mnie kto pałą po czerepie uderzył, jeszczeby mnie tak nagle głowa nie zabolala, jak kiedyś usłyszał o tylu formalnościach. Śledź w zębach, bułeczka w ręku nieruchomo zawisły. Spojrzałem się smutnie na szufladę, gdzie moje spoczywały holendry.

Kiedy za powrotem do domu zajezdnego biję się z myślami, czy jechać, czy pisać po one pruskie pozwolenia na wyprowadzenie za granicę zwłok ś. p. starosty Bawolskiego, wbiegł do izby mój woźnica Mateusz i wrzasnął na całe gardło: „panie! konie nam ukradli!“

Przełknięiony, jeszcze nie zdążył ust otworzyć, gdy wbiega furman warszawski, który trumny przywiózł, za furmanem wbiega gospodarz domu, i każdy osobno wrzeszczy jak zamówiony: „pańskie konie ukradli!“

— Kto? kiedy? jak? ..

Zyd.

— Mateusz *wysied* na rynek kupować biczysko, *jam się trochę zasnął* na pańskiej bryczce...

Gospodarz.

— Na nieszczęście, ja także z żoną moją byliśmy na mszy ś.

Zyd.

— Wiatr począł mnie *studzić*, *budzę się*, patrzę, wrota od stajni na pole rozrzucone, —

patrzę — nie masz mojej bryki z trumnami, patrzę, a tu i koni pańskich nie ma w stajni.

Nie było czasu do dalszej rozmowy. Woźnica Mateusz, Jan lokaj i żydek na warszawskich, sześciu mieszczan z Ostrzeszowa na swoich własnych koniach rozbiegli się na wszystkie strony. Minęło południe, minął zachód słońca, noc zapadła, — nikt jeszcze nie wracał, a pan burmistrz, popijając z mojego samowara herbatę, twierdził, że niezawodnie złapali złodzieja. Wybiła godzina dziesiąta, pan burmistrz przyznał się, że za wiele dolewał araku; — powtórzył zapewnienie, że niezawodnie złapali złodzieja; życzył mi, abym był spokojny; powiedział dobranoc i udał się na spoczynek. O dwunastej położyłem się nierozzebrany w łóżko.

„Wracaj najspieszniej o luby!“ — „Słowa mojego dotrzymam“ — „Auguście, dasz mi dowód przyjaźni!“ Marynia, starościna i starościc, jak gdyby na jawie przemówili do mnie; wzrok mój zatopiłem w uroczą postać Maryni, ona się do mnie uśmiechała, jej wdzięki pełnym kwiatem czarują me zmysły, myśl swawolna spuszcza się na zrąbek, cisnący bijące dla mnie serce dzieci, każdą chwilę przyszłości chętniebym poświęcił, — wtém jasność od okna — razi moje powieki. Budzę się, — moje papiery i jedna franka w płomieniach!

Ratujcie! krzyknąłem z przestrachu i równocześnie gołymi rękami ogień gasić począłem.

Gospodarz domu w koszuli, ze świecą, parobek z kubelkiem wody i nocny stróż z kosczturęm, razem na pomoc wpadli; szczęściem kubelek nie był próżny, woda zwycięstwo odniosła, ale pugilares z pieniędzmi, upoważnienie do przewiezienia zwłok śp. starosty Bawolskiego, mój paszport — w całości spłonęły; a ręce moje, z początku do raków podobne, niebawem białemi pokryły się pęcherzami.

Już siedm tygodni minęło, jam jeszcze pióra w rękę ująć nie mógł; balbierz niejscowy, za którego znajomość chirurgii pan burmistrz zaręczył, — jak utrzymywał doktor z Krotoszyna, — zamiast maści gojącej użył przez grubą pomyłkę maści jątrzącej; wprawdzie środki, przez doktora później użyte, były skutkujące, ale kuracya wolnym szła krokiem; przypalone żyły, spryszczone kości długiego potrzebowały czasu, ażeby do zdrowego stanu powrócić, a pan konsyliarz Borstenmaus swęj biegłości w sztuce lekarskiej, gospodarz domu *wielkiemu* szczęściu, gospodyni domu łasce Boskiej przypisywała, że się obyło bez odjęcia dziesięciu palców.

Gońcy, wyprawieni za złodziejem, dopiero na trzeci dzień po pogorzeli meich rąk i papierów powrócili byli bez śladu złodzieja. Obiegniki z opisem koni, bryki i trumien szły *langsam* ze wsi do wsi, z miasta do miasta; wprawdzie pan *lantrat* doniósł mi, iż odebrał wiado-

mość, że pod Frankfurtem nad Odrą przytrzymano podejrzanego żyda z czterema końmi, — ale tamte konie były karęj, moje zaś gniadęj maści.

Żydek, furman warszawski, otrzymawszy złp. 150 za stare graty skradzionęj bryki i złp. 400 za przewiezienie trumien i za 5cio dniowy pobyt w Ostrzeszowie, powrócił do Warszawy; korespondencye o nowe upoważnienie do przewiezienia zwłok śp. starosty Bawolskiego, o nowy dla mnie paszport, o pozwolenie z konsystorza, o pozwolenie z regencyi poznańskiej, ręką pana burmistrza pisane i jego pośrednictwem na pocztę wyprawione, jeszcze żadnej nie uzyskały odpowiedzi. Jan Kierejsza, jeden z tych ostrzeszowskich obywateli, którzy przezemnie najęci byli w pogoń za złodziejem, wytoczył przeciw mnie proces o wartość konia, którego, jak dowodził, schwacił był w usłudze dla mnie dokonanej, — znalazł nawet prawem żadaną liczbę świadków, którzy utrzymywali, że przy wysłaniu pogoni rozkazywał, aby pędzili, co koń może wyskoczyć. Gospodyni za malenką z grubego perkalu firankę podała likwidacyą wynoszącą złp. 45. Kosztowało pomieszkanie, żywność moja i dwóch służących, doktor z Krotoszyna przybywający, apteka; — kwartał mojego pobytu w Ostrzeszowie upłynął, już tylko 600 złp. miałem w zasobie, jaki po pogorzeli

pugilaresu w sakiewce dukatami pozostał, gdy pewnego dnia odwiedził mnie pan burmistrz i przy zamkniętych drzwiach ze łzami prosił, abym mu pożyczył 300 złp., ponieważ pisarz jego skradł mu takową sumę z kasy miejskiej. Niestety, a ja do nich w Ostrzeszowie należałem, czuli są na nieszczęście bliźniego, a więc, spodziewając się nadto z dnia na dzień niewątpliwiej przysyłki pieniędzy od bankiera z Warszawy, wyliczyłem panu burmistrzowi żadaną sumkę i pozostałem przy 300 złp. Ledwo, że dziękujący i dozgonną wdzięczność obiecujący burmistrz moje pomieszkanko opuścił, wchodzi posłaniec z poczty i doręcza mi list niefrankowany z Wrocławia. Płacę *porto* 7 srebrników i trzy denary, łamię pieczętkę, — i któż uwierzy, że mnie paraliż nie zaraził, gdy następujący list przeczytał:

Wrocław dnia 27 lutego 18..

Jaśnie wielmożny panie!

Mojego honoru i uczciwości powinność nakazuje mi, abym Jaśnie Wielmożnemu Panu zwrócił listy, których nie odsyłałem na pocztę, ale przy sobie zatrzymałem dla zyskania danych mi przez pana burmistrza pieniędzy na opłatę portoryi od tychże listów. Szczupła pensya, jaką mi pan burmistrz mimo moich zasług i *zdolności* wyznaczył, powodowała mnie do tego kroku. Widząc z odpieczętowanych listów, że na prze-

śłaniu tych listów Jaśnie Wielmożnemu panu zależy, i ulitowawszy się nad smutnem zkadinąd położeniem pańskim, donoszę JW Panu dzisiaj przed moim z Wrocławia wyjazdem, że prośba pańska do regencyi poznańskiej o pozwolenie wywiezienia do Polski zwłok nieboszczyka Bawolskiego, list do konsystorza, list do bankiera w Warszawie, listy 2 do pana lantrata w Krotoszynie, listy w jednej kopercie do Jeżowej Góry pod Kamieniec Podolski, — w sumie ogólnej: listów 7, w chustce od nosa szpagatem związane i opieczetowane, znajdują się wszystkie w Wrocławiu u pana Knypsz, piekarza, oddane na ręce córki jego Elizy, które JW Pan za zgłoszeniem się każdego czasu odebrać może. Życząc JW Panu rychłego i najlepszego zdrowia, przepraszam za zawód przezemnie doznany, czterzy zaś talary i ośm srebrników, których za te listy nie zapłaciłem, otrzymawszy na nie od pana burmistrza pieniądze, może JW Pan odebrać od pana burmistrza z mojej zaległej pensyi za ostatni kwartał z roku przeszłego, a gdyby się pan burmistrz tłumaczył, że ja *defraudowałem* z kasy miejskiej 300 złp., wtenczas *deferuję* panu burmistrzowi przysięgę, że mnie się z przeszłego roku jeszcze 17 talarów pensyi i jeden talar kosztów podróży za rekrutami do Krotoszyna słusznie należy; bo potrącenie kar porządkowych, przez pana lantrata wymierzonych, nie mnie ale pana

burmistrza dotyczyło, a on niesłusznie na mnie winę spędził, o czém pan burmistrz wie najlepiej.

Zostaje z jak najgłębszém uszanowaniem

JWPana

najniższy sługa

Jakób Knewkowski,

były etatowy pisarz.

Nigdy mściwy nie byłem, ale gdyby mi kto wtenczas Jakóba Knewkowskiego, byłego etatowego pisarza, do rąk moich dostawił, byłbym go niewątpliwie, ale to bez zawodu, żywcem udusił.

Potrzeba było upływu całej godziny, zanim odzyskałem zmysły, a potem jeszcze przez dwie godziny z gniewu sapałem; zwolna dałem przystęp zimnej rozwadze, potem począłem dumać, w końcu przekonałem się dostatecznie, że gniew zgoła nic nie pomoże i że pospieszne pióro najwłaściwszą w tym przypadku będzie czynnością. Jakoż odrzuciwszy powijaki z méj ręki, jąłem się do pracy. Przed wieczorem już wszystkie ukończyłem listy i sam je odniosłem na pocztę; żeby zaś pan piszczyk z ostrzeszowskiej poczty Jakóba Knewkowskiego nie miał sposobności naśladować, na te wszystkie listy wzięłem rewers, i już pewny skutku, powróciłem na nieszczęsną kwatere.

Burmistrz uwiadomiony o tym nowym występku swojego byłego pisarza, bezpośrednio za-

klinał się w żywe Bogi, że Knewkowskiemu ani grosza nie winien, że, gdyby mu przyszło cały stracić majątek (na szczęście prócz pocziwów żony i siedmiorga ładnych dzieci nie miał innego), Jakóba, zbrodniarza, wynajdzie i do sądów kryminalnych odeśle.

W zamian téj szczerój gorliwości zażądałem od pocziwego prezydenta, aby się udał do ks. gwardyana, który oddawna z Poznania powrócił, z uprzejmą prośbą w mojem imieniu o chwilowy zwrot chociaż tylko 500 złp., które na kosztą żałobnego nabożeństwa ks. Bonifacemu zaliczyłem; obawiałem się bowiem przed nadeściem z domu pieniędzy zupełnego wyczerpnienia méj konającej gotowizny.

— Pan dobrodziej, wyrzekł burmistrz, masz prawo nie tylko 500 złp. ale i całkowitą sumę odebrać.

— Ja nie myślę odbierać.

— Rozumiem, — rozumiem; pan dobr. zwrócisz, skoro z domu przysła pieniądze, a tylko nadzwyczajne przypadki.... Już ja to wszystko opowiem.

Pan prezydent wyszedł w owém poselstwie do klasztoru; ja tymczasem rozkazałem Mateuszowi nastawić samowar, posłałem po cukier i arak i umyśliłem nazajutrz jechać do Krotoszyna celem widzenia się z doktorem Borsztenmaus, gdyż w skutek kilkogodzinnego natężenia ręki przy pisaniu listów uczułem ból odnowiony.

Gdy myśl moję tym przedmiotem zatrudniam, powraca prezydent. Z jego rzadkiej miny poznałem od razu, że poselstwo prezydenta niepomyślnie się powiodło.

— A cóż?... kochany pan na próżno się trudził.

— Przyznam się panu dobr., że nie spodziewałem się po ks. gwardyanie!

— Dla mnie w Ostrzeszowie każdego rodzaju nieprzyjemność jest spodziewaną.

— Tłumaczy się, że zakupił drzewo, wapno, dachówkę, że popłacił majstrom i pomniejsze długi u kupców i *sumuje* się, że z tych pieniędzy pozostało mu tylko dwa dukaty, które, jeżeli pan dobr. pozwoli, zaraz przysle.

— A cóż mnie po dwóch dukatach?

— Co do mnie, ja istotnie w tak nagłym czasie nie wiem, czyli przed Wielkanocą będę w stanie...

— Ale któż o tém mówi, kochany prezydencie, raczej bądź łaskaw nalać herbaty, bo mi znów ręka nieco nabrzmiała.

— Może pan dobrodziej zaziębił? trzeba by posłać po doktora.

— Jeżeli prezydent masz wolny czas, przejechalibyśmy się jutro do Krotoszyzna.

— Miłą chęcią, i owszem, gdyż i mnie wypada być u pana *lantrata*.

Umówiwszy jutrzejszą podróż, przy herbatce prześliśmy do potocznej gawędki. Prezy-

dent opowiadał mi historią swojej służby wojskowej, historią swojego ożenienia; skarżył się na intrygi, przez które pozbawiony został wyższej posady; chwalił mi swoje dzieci, popłakał się, wypił czwartą szklaneczkę i gdy nocny stróż godzinę dziesiątą ogłosił, jako przykładny mąż powędrował do domu. Tak się dla mnie zakończył znów jeden dzień nieszczęść, smutku i nudów ostrzeszowskich.

Zaledwo słońce pierwszym promieniem na świat rzuciło, burmistrz zajechał przed moje mieszkanie; byłem już ubrany a więc niebawem ruszyliśmy w drogę. Prezydent przez cały czas podróży był wbrew swojemu zwyczajowi bardzo mało mówiącym; uważałem nawet, że im więcej zbliżaliśmy się do Krotoszyzna, tém wyraźniej malował się smutek na jego twarzy.

— Co tak prezydent zasepiony? czy u *lantrata* burka prezydenta czeka?

— Nie obejdzcie się zapewne bez jakiejś przymówki, bo nasz pan *lantrat* ma to w zwyczaju. Tym razem jednakże mam inną przyczynę smutku, gdyż przyznam się panu dobrodziejowi, że czynię sobie pewne w tym względzie wyrzuty, iż pozwoliłem na pańską podróż do Krotoszyzna. Boże broń przypadku,.... gdyby pan dobrodziej miał zachorować, nie darowałbym sobie tego do śmierci.

— Ja mam zachorować?... dla tego żem się przejechał do Krotoszyzna po czternasto-ty-

godniowej pokucie ostrzeszowskiej?... Cóż się u licha prezydentowi przyśniło?

— Powiem więc panu dobrodziejowi, że lepiej oto, kiedy jeszcze czas, powrócić do Ostrzeszowa, bo w Krotoszynie panuje cholera.

— Dawno?

Podobno już od trzech dni umierają.

— Wieczny odpoczynek tym, co już pomarli. Co do nas, byłoby śmiesznością, gdybyśmy, pół mili będąc od celu podróży, wracać mieli z obawy przed cholera. Wstydź się, stary podporuczniku! Któż to widział, aby żołnierz bał się zarazy; napijesz się miętówki i figę cholerze pokażesz.

— Ha! niech i tak będzie.

Wtém mijamy idącą z miasta wiejską niewiaścę.

— Matko! a cóż tam nowego słyhać w Krotoszynie?

— Wielmożny paniczku! złe — odrzekła kobieta.

— A cóż złego?

— Cholera.

— Dużo ludzi umiera?

— Ludzi jeszcze niewiele, ale żydów to po kilkoro na dzień.

Rozśmieszeni odpowiedzią chłopki, która żydów za ludzi nie uważała, wjechaliśmy do Krotoszyna z żartami na ustach; ale gdyśmy przy pierwszej ulicy dwóch nieboszczyków spotkali,

prezydent zbiegał jak kreda, mnie cichaczem dreszcz po plecach przebiegał.

Pan konsyliarz Borsztenmaus przyjął mnie bardzo grzecznie; miałem szczęście poznać jego żonę, o której mi wiele w Ostrzeszowie powiadał i pokazał mi dwumiesięczną córeczkę; potem obejrzał moje ręce, kazał dalej *kontynuować* maść żółtą i przepisał proszek do posypywania. Wniesiono śniadanie; spytałem się o śmiertelność cholerycznych, konsyliarz zapewnił mnie, że jemu jeszcze żaden choleryczny pacjent nie umarł, że wypadki śmierci, które się w mieście zdarzyły, wynikły jedynie z uporu jego kolegów, którzy inną leczą metodą; następnie rozprawiał wiele o chemii, z chemii przeszliśmy do fizyki, od fizyki powróciliśmy do medycyny; konsyliarz uwiadomił mnie nawiasem, że 5 lat chodził w Berlinie na klinikę, że należy do najznakomitszych lekarzy, czemu ja, popijając jego *Strohwein*, bynajmniej nie zaprzeczałem. Dowodził, że cholera nie jest zaraźliwą i że w usposobieniu człowieka a nie w powietrzu jest przyczyna choroby; utrzymywał, że kto się cholery nie lęka, nigdy jej nie dostanie; aliści pośród tych dowodzeń i objaśnień doktor medycyny i chirurgii, Borsztenmaus, nagle skrzywił twarz swoją, krzyknął i upadł na ziemię ze wszystkiemi oznakami najgwałtowniejszej cholery.

Byłoby jakoś nieprzyzwoicie, gdybym szanownym czytelnikom opisywał szczegóły cho-

lery; jest to słabość nie tylko w skutkach niebezpieczna, ale i w swym przechodzie bardzo nieporządna; — raczej więc w skróceniu powiem, że nadbiegło pięciu lekarzy i, chociaż nie metodą dr. Borsztenmausa ale własną, przecież kolegę od śmierci uratowali.

Już wieczorem opuściliśmy z prezydentem Krotoszyn. Na drodze prezydent często skarżył się na ból głowy, jam milczał, ale czułem, że cholera chwyta innie po wszystkich członkach. O 1ej z północy stanęliśmy w Ostrzeszowie; o 7ej rano moje okropne przeczucie zamieniło się w rzeczywistość. Dostałem cholery! I tu znów należy skrócić mój opis; jedno tylko westchnienie mimowolnie wyrывa się z piersi: o Maryniu, ileż ja dla ciebie cierpiałem!...

Znudziłbym na śmierć szanownych czytelników, gdybym wszystkie bolesne szczegóły moich następnych jeszcze przypadków opisywał i oddaliłbym się od głównego przedmiotu; wszakżeż rozwlekłością już dotąd nie mało nagrzeszyłem. Ale takto zawsze bywa, że ten, kto cierpiał, o najdrobniejszych pamięta okolicznościach i wszystkie każdemu powtarza. Przypomni sobie czytelnik, że po odebraniu złodziejskiego wyznania Knewkowskiego, *pospiesznie* rozpisywał listy powtórne i że sam na pocztę odnosił. Otóż przy końcu kwietnia, gdy po ciężkiej cholerycznej chorobie z łóżka pierwszy raz powstał, w przeciagu kilku dni

odebrałem odpowiedzi: z konsystorza, że na list, do jakiegś Maryni pisany pod kopertą konsystorza poznańskiego, żadnej nie mogę otrzymać wiadomości, bo konsystorz nie wie, gdzie Marynia mieszka i nie trudni się takim pośrednictwem, dziwi się nadto i t.d... regencya poznańska odpisała, że pieniędzy nie wypożycza; bankier warszawski upewnił, że nie ma nic przeciw przeprowadzeniu zwłok starosty Bawolskiego, a Marynia, zwracając mi prośbę do konsystorza, czyniła wyrzuty o roztargnienie z winy zapewne zajęcia się pięknosciami Wielko-Polski. Każdy się z czytelników bardzo łatwo domyslił, że przez zbyt ni pospiech a może i przez gwałtowność gniewu na Knewkowskiego napisy na kopertach najniešťczęśliwiej pozamieniał, ale nikt sobie nie wyobrazi mojej nowej ztąd boleści. Nie przytoczę szczegółów, jak pocziwy prezydent, z prawdziwem mojem zinartwieniem, za pośrednictwem cholery przeniósł się do lepszego żywota; jak mój Mateusz skutkiem próżniactwa zadał się w romans z córką sąsiedniego kuśnierza, z czego wynikły hałaśliwe nieporozumienia a w końcu ślub głupiego Mateusza; jak Knewkowskiego uchwycili, a ja rad nie rad, trzy razy do sądu stawiać musiałem; pominę, że regencya poznańska wzbraniała się wydać pozwolenie na poruszenie nieboszczyków podczas lata, porę zimową ku temu oznaczając; że do Poznania

osobiście jechać byłem przymuszony; że w Poznaniu miałem zatargi wekslowe i t. d. i t. d.

Dopiero po wielu i wielu nieprzyjemnościach, zmartwieniach, zgryzotach i chorobach, po długich korowodach, przy końcu miesiąca września odzyskałem, zgromadziłem i posiadałem to wszystko, co do przewiezienia zwłok starosty było potrzebne.

Uszczęśliwiony spełnieniem się moich przedostatnich życzeń, przybywam 2go września do ks. gwardyana i składam wszystkie dowody i zezwolenia i proszę o owe nieszczęsne zwłoki Jana Kazimierza Wojciecha trzech imion Bawolskiego. Ks. gwardyan winszuje mi pomyślnego skutku tylu kłopotów i wyprawia ze mną znanego mi już ks. Bonifacego i dwóch braciszków. — Wchodzimy do sklepów kościelnych, wnoszą za nami dwie trumny poznańskie; pytam się, gdzie stoi trumna z Bawolskim, ks. Bonifacy odpowiada, że nie wie, — dwaj braciszkwowie odpowiadają, że nie wiedzą. Zwołują ks. Kajetana, ks. Franciszka, ks. Anzelma, samego na koniec ks. gwardyana, potem starego organistę, kilku dziadów ze szpitala, ale nikt o trumnie Bawolskiego nie wiedział. Ogarnia mnie rozpacz; — z latarnią w ręku przebiegam wszystkie sklepy, czytam każdy napis; trumien do tysiąca, ledwo że mi oczy na wierzch nie wyjdą, zapach trupów razi mnie gwałtownie, dwanaście godzin pracy mija bezskute-

cznie!! Nie zważając na zapadłą noc, na oddalenie się księży, w towarzystwie tylko już jednego lajka zaczynam na nowo śledztwo; każdą trumnę znaczę kredą, abym drugi raz do niej nie powracał; trzech wojewodów, siedemnastu kasztelanów, czterdziestu stolników i podstolich, jedenastu podkomorzyców, kilkudziesięciu wojskich, podczaszych, cześników, dwóch pisarzy koronnych, jednego krajczego, trzech skarbników, siedmiu chorążych, do trzydziestu starostów i wtrójnasób starościców, znalazłem i wyczytałem, lecz ani śladu o Janie Kazimierzu Wojciechu trzech imion Bawolskim.

Nie wiem, co się zemną stało, ale nazajutrz, gdym około południa oczy otworzył, znajdowałem się w celi klasztornej, na łóżku zakonnika. Dr. Borsztenmaus stał przy mnie z wielką fiaską aromatycznego spirytusu, a ostrzeszowski balwierz, smarując przy oknie wizykatorye, przypatrywał się zgęszczonej krwi na miednicy. Jakby przez mgłę zacząłem sobie przypominać dzień wczorajszy. Mówiono mi, że nad ranem zasłabł, wychodząc ze sklepów grobowych; że mi zaszkodziła bezsensowność i złe powietrze, że to był tylko lekki napad uderzenia krwi do głowy, że niezadługo będzie zdrow i t. d.

Minęły trzy tygodnie po tym przypadku, paraliżem utracona władza w prawej ręce i w prawej nodze, dzięki mej młodości, zupełnie powróciła. Siedziałem na ławeczce

przed klasztorem, rozmawiając z ks. Bonifacym.

— Trudna rada, potrzeba, ażebyś sobie JWPan wyperswadował; mamy wprowadzić ślad a nawet i dowody, bo dziadek Grzegorz bardzo dobrze pamięta pogrzeb ś. p. starosty i wie na przykład wszystkie szczegóły: że starosta jadąc z Przeментu, gdzie ks. opata, brata swojego, odwiedzał, tutaj na popasie zasłabł; że umarł w wigilią ś. Jana, że go chowano dopiero za tydzień; że nie szcędzono kosztów za duszę nieboszczyka, bo i dziady po całkowitej złotówce dostały; — ale cóż, kiedy go teraz w żaden sposób wynaleźć nie można. Albo to na jednej trumnie brakuje blachy z napisem? — któż tam w sklepieniach grobowych upilnuje złodziejca! — Kiedy już taka wola Boska, aby tutaj ś. p. starosta spoczywał, nie można się sprzeciwić; najgorzej kłopot dla ks. gwardyana względem tych pieniędzy, które JWPan do rąk moich złożyłeś. — Ks. gwardyan jakoś się pośpieszył...

— Mój księżu Bonifacy, jabym drugie tyle zapłacił, gdybym z próżnemi trumnami na Podole nie wracał; nie wiesz, szanowny zakonniku, ile to światowych okoliczności związało się z temi nieodszukanemi zwłokami starosty.

— Drugie tyle!?!... mruknął pod nosem ks. Bonifacy, i mocno się namyśliwszy poszedł do

sadu, gdzie się znajdował ks. gwardyan przy zbiorze zimowych jabłek sztetynow.

Wieczorem tegoż samego dnia ks. Bonifacy miał długą sam na sam ze mną naradę; cела, którą od czasu mojego ostatniego przypadku zamieszkiwałem, była położoną przy głównym korytarzu, często więc który z zakonników lub z klasztornej czeladzi obok drzwi moich przechodził; natenczas ks. Bonifacy mowę swoją wstrzymał a nawet po kilka razy wychodził patrzeć, czy nas kto nie podsłuchuje. Cośmy uradzili, cośmy, z sobą rozmawiali, prócz wyrazów ks. Bonifacego: „niech Bóg broni żadnego dygnitarza!“ — przepraszam ciekawych czytelników, więcej wyjawić w tém miejscu nie mogę, bośmy sobie przyrzekli wzajemnie najściślejszą tajemnicę, a gdy później przez kłótnie kobiet ostrzeszowskich zostaniemy zdradzeni, już wtenczas nie moja w tém wina ani ks. Bonifacego. Lecz ażeby nateraz odwrócić uwagę czytelnika, opowiem małą potoczną treść historyjkę.

Był przy pewnym klasztorze szewc, zawołany pijak; imię mu było Wojciech, ludzie go nazywali kulawy Wojciech, bo nieco chromał na nogę. On tedy szewc robił za ogólnem, rocznem wynagrodzeniem z dawanego mu rzemienia obowiązuje dla wszystkich zakonników i dla klasztornej czeladki; latał za kieliszek wódki stare chodaki dziadów ze szpitala; rzadko kie-

dy podejmował się roboty na miasto, chyba dla bardzo nabożnego człowieka. Mówiono wprawdzie, że z miasteczka nie dawali mu roboty, bo trudno się było doczekać, a i przyszwę często potrzeba było u żyda arendarza wykupować. Złośliwi twierdzili, że jego dratwy w tydzień pękały, że zelować nie umiał, ale to wszystko były bajki, bo, pomijając drobne przywary, kulawy Wojciech do rzędu dzielnych szewców należał. Trzydzieści lat posługi dla klasztoru upłynęło Wojciechowi; w niezwrotnej czasu kolei skończył 65ty rok swojego życia i już otrzymał drugi nowy przydomek, bo wołano na niego „stary kulawy Wojciechu,” gdy na początku sześćdziesiątego siódmego roku pocziwego żywota na chrzcinach u organisty Bartłomieja bies go zaczarował albo też złe urzekło, że się zakochał w owdowiałej szewcowej Małgorzacie, w babie tylko o rok od niego młodziej, na całe miasteczko słynącej z wymowy, nie nazbyt delikatnej a mocno *dobitnej*. Krótko trwała konkurencya kulawego Wojciecha o rękę pani Małgorzaty i w ostatni dzień kusaków tego samego roku, kiedy umarł pan burmistrz, pobrali się kochankowie; ślub dawał ks. kaznodzieja, wesele odprawiło się u organisty. Ks. gwardyan przez wzgląd na trzydziestoletnie zasługi Wojciecha pozwolił nowożeńcom zamieszkać izbę w szpitalu, będącym za obrybem murów klasztornych. Pierwsze początki

małżeństwa były bardzo przykładne; — ale niezadługo, gdy Wojciech gorzałki dla swój połowicy czy żałował czy nastarczyć nie mógł, wszczęła się pomiędzy małżonkami kłótnia, obraza Boska z dnia na dzień powiększała się, djabeł też za złą sprawę ustawicznie czatował, — i jednego dnia po wschodzie słońca dano znać ks. gwardyanowi, że Małgorzata starego Wojciecha na śmierć uraniła. Pomimo że miejscowy chirurg wszelkich dokładał starań, na trzeci dzień po owém małżeńskim nieporozumieniu stary, kulawy Wojciech przeniósł się na wieczny spoczynek, wyznając przed zgonem, że Małgorzata śmierci jego nie winna. Działo się to przy końcu września a w początku października postawiono zwłoki kulawego Wojciecha w przedsionku grobowych sklepów klasztoru, bo pod ten czas był siew jesienny, konie mieszczan nie były czasowe a klasztorne z kwesty nie powróciły; nadto grabarze, żywiąc jakąś dawną o odmówienie naprawy bótów urazę do nieboszczyka, gdy Małgorzata nie miała pieniędzy, darmo grobu kopać nie chcieli, — z tych tedy przyczyn i przez wzgląd na pocziwość zmarłego ks. gwardyan wyrzekł był: „postawić go tymczasem w przedsionku sklepów grobowych.”

Na tém koniec i niekoniec historyjki; ale mnie się dłużej drobiazgami bawić nie należy,

kiedy główna sprawa nie ukończona a więc *a capite*.

Żelazna wola człowieka łamie wszelkie trudności. Dwudziestego piątego października odnowiwszy poszukiwania, mając tylko do pomocy starego organistę, już o szarej godzinie znalazłem wreszcie zwłoki ś. p. Jana Kazimierza Wojciecha trzech imion Bawolskiego i tegoż dnia jeszcze szanowne szczątki starosty zapakowaliśmy w trumny poznańskie. Nazajutrz ciało było wystawione na katafalku, odbyło się nabożeństwo, wymowne usta ks. kaznodziei ogłosiły mieszkańcom ostrzeszowskim chwalebny żywot starosty, wymieniły najwyraźniej przyczyny przeprowadzenia zwłok nieboszczyka do Jeżowej-Góry, nie pominęły nauki generalnej dla zgromadzonych słuchaczy i o 2éj z południa — o moja niewymowna radości! — nieboszczyk Bawolski ulitował się wreszcie nademną i opuścił kościół ostrzeszowski. Przez miasto jechaliśmy wolno, bo cechy i bractwo (nie mając nic lepszego do czynienia) wyprowadzały starostę aż do figury; ale gdy pokłonem choraągwi ostatnie starości oddano pożegnanie, gdyśmy się z przed oczu ostrzeszowskiego obywatelstwa spuścili za górę, krzyknąłem: „ruszaj, co koń wyskoczy!“ i rzeczywiście pędziliśmy z Bawolskim daleko gwałtowniej aniżeli szybkie sztejnkierki z poczty warszawskiej. Konie, które w miejsce skradzionych kupilem w Go-

styniu, rozprzągłem na dwie furmanki; jedną parą powoził mnie lokaj Jan, drugą parą Mateusz wioził Bawolskiego.

— Panie! konie ciągle parskają, będą nam radzi w Jeżowej Górze — mówił Mateusz, gdyśmy na noclegu stanęli; — żeby tylko ta baba słowa swojego dotrzymać nie chciała.

— Jaka baba?

— Żona tego nieboszczyka, którego wieziemy.

— Cóż to się ma znaczyć?... z kąd tobie przychodzi ta bezecna śmiałość, abyś panią starościę babą nazywał?

— E! proszę wielmożnego pana, toć-że ja nie o pani starościę myślę.

Porwawszy Mateusza za kołnierz, trzęsąc się z przerażenia, odprowadziłem go na stronę.

— Mów, powtórz, od kogo i co słyszałeś?...

— Bez urazy pańskiej, jeszcze wczoraj na wieczór organista Wojciechowej powiedział pod sekretem, a Wojciechowa mnie i Janowi dzisiaj powiadała, że wielmożny pan nie mogąc znaleźć...

— Milcz! niechaj te wyrazy przez usta twoje nie przejdą. Janie! Mateuszu! słuchajcie! oto każdy z was ma tymczasem po 100 złp., później dam każdemu z was jeszcze po 100 złp., ale milczenie bezwyjątkowe, pary z ust nie wypuścić.

„Dziękujemy wielmożnemu panu“ odbiera-

jąc pieniądze, wymówili obydwaj z pokłonem; Mateusz zaś dodał, — „ale jak ta baba słowa dotrzyma?”

— Jakiego słowa?

— Ona mówiła, że na wiosnę odwiedzi grób mężowski; wprawdzie gadała po pijanemu, aleć ona nigdy trzeźwą nie jest i może po pijanemu swój zamiar wykonać.

— Już ja w to poradzę; wy tylko, powtarzam, pary z ust nie wypuszczajcie.

Gdyby nie list, rano na pocztę odesłany, donoszący, że już wiozę starostę, z pewnością byłbym powrócił do Ostrzeszowa i zaniechał przeprowadzenia zwłok starosty; ale stało się!... Więc napisałem tylko do ks. Bonifacego stósowne ostrzeżenie, z którym natychmiast umyślnego wyprawiłem. Dalsza podróż nasza nie odbyła się bez pomniejszych przypadków; za Kaliszem w mieście Turku złodzieje już zajęli z bryki starostę, mniemając, że to jest skrzynia z towarami — szczęściem że się Mateusz zawczasu przebudził; w Łowiczu złamało się koło pod starostą; w Warszawie w skutek fałszywej denuncyacji szukając koronek brukselskich, otwierano trumny na komorze; w mieście Piaskach za Lublinem pijany Mateusz wyrzucił brykę i zwierchnię trumnę rozłupał. Ale że wszystko na świecie ma swoje granice, więc też i moje utrapienia skończyły się, gdy o milę przed Kamieńcem Podolskim proboszcz z Jeżowój-Góry

zwłoki śp. starosty Bawolskiego pod swoje odebrał rozkazy. Tego samego dnia jeszcze stanąłem w Jeżowój-Górze. Wdzięczność starości, tkliwe przywitanie Maryni, szczere uściski starości, były dla mnie miłą za wszystkie doznane nieszczęścia nagrodą, ale o tém później.

Co tylko było po mieczu i po kądzieli z domem Bawolskich spokrewnione, co tylko zaszczycało się przyjaźnią, sąsiedztwem i znajomością, co tylko rościło prawo do uczuć obywatelskich, nakoniec co tylko żywiło iskrę ciekawości, wszelkiego rodzaju ludzie, rozmaitego stanu i wieku, płci obojg, kilkotysięczna publiczność zgromadziła się w dniu 2 grudnia na granicy obrębu miasta Kamieńca Podolskiego. Starościna, w grubą żałobę przybrana, przybyła w samo południe.

Po trzechgodzinném oczekiwaniu ukazał się z poza pagórka ośmiokonny karawan, gorejącymi otoczony pochodniami, a postępując zwolna, stanął wreszcie w oznaczoném miejscu. Ks. sufragan w asystencji liczego duchowieństwa odmówił ciche modlitwy, poczem szmer publiczności zamilkł jakoby instynktem a na dwulokciowe rusztowanie, czarném okryte suknem, wstąpił znany powszechnie, czcigodny, wspólniejszej postaci marszałek i w następujące odezwał się słowa:

„Przeznacznie zgromadzeni panowie obywatele!”

„Uprowadzając łzę w żalu nieutulonej rodziny, stawam pośród was i na krańcu obrębu miasta Kamieńca Podolskiego mową moją, imieniem obywatelstwa, przyjmuję zwłoki ś. p. Jana Kaziemierza Wojciecha starosty Bawolskiego. Są chwile w życiu ludzkim, gdzie ciężar powinności najśmielsze przytłacza siły, gdzie głos obywatela, wsiąkając w potęgę uczucia, rozplywa się i niknie na obszarach zbolełego serca. Taką jest obecna chwila i dla mnie; oto są zwłoki starosty Bawolskiego, oto ja jestem wołą waszą powołany do złożenia przedwstępnego hołdu nieodżałowanej pamięci niegdyś naszego współobywatela, a dzisiaj już niebieskich sfer mieszkańca.“

„Jeżeli w powodzi cnót obywatelskich szlachetne znamienitych pamiątek imię nieugiętą losu rzeczy ludzkich zmianą w smutne przechodzi zapomnienie, czujemy rozdzierającą boleść, że przeszłość nie jest naszym udziałem; ale kiedy ta strata, bluszczem zwycięstwa owiana, na całunie familijnej miłości powróconą zostaje, zaiste pierś nasza chlubą rozpiera się dumą, że ciebie, niezrównana w obowiązkach żono, do naszych ozdób obywatelstwa liczymy! Tak jest, panowie! j. w. staroście i tobie, przeznaczeni, tutaj obecni młodzieńcze! (mówca na mnie spojrzał, jam się uklonił) winni jesteśmy, że kość kości naszych, proch prochów naszych, będzie spoczywać na naszym łonie. Ty, pani, zarzewiem małżeńskie miłości, — ty, młodzieńcze,

stałą gorliwości przewagą, na skarbieńie praw spodziewanych związków popartą, wielkiego dokonaliście dzieła!.. Tam uwielbienie! tu zaszczyt! w równym zyskacie wymiarze; nam radość, że zwłoki ś. p. starosty, zgasłe przyjaźni szczątki, w sercach odrodzonymi zostały!...“

„Płacz wielko-polska ziemico! żeś postradała klejnot, w wnętrznościach twoich złożony, ale nie wzbraniaj nam radości nad odzyskanym skarbem!“

„O drogi cieniu starosty! którego duch na błękitnej krawędzi życia nowego pojawu za widnił, rozpatrz się w naszych sercach, zajrzyj w tajniki uczuć naszych i przyznaj, że w rozdetej piersi cześć i sława nigdy dla ciebie nie zagasną, a czego ja czastką słabego umu i słowem żalu objąć nie byłem zdolny, usłyszysz pokrótce w mowie wielmożnego sowietnika, niegdyś szwagra twojego, któremu z kolei miejsca ustępuję, ponieważ i ja tylko śmiertelnym jestem człowiekiem!“

Po marszałku istotnie zabrał głos wielmożny sowietnik, którego trzech żon poprzedniczka była rzeczywiście przyrodnią siostrą nieboszczyka starosty. W mowie sędziwego sowietnika wdzięczność osobista główną treść stanowiła a jedynie zakończenie na wziankę z mej strony zasługuje.

Sowietnik zapewnił słuchaczy, że, gdyby nie dokuczliwy mróz,łożyłby obszerniejszy obraz

swoich Źwdzięcznych uczuć, i żałował, że nie w porę letnią zwłoki starosty sprowadzono. Po sowietniku pojawił się na żałobnej trybunie z czarną hiszpańską bródką blady, szczupłej budowy podkomorzyc, jak się później dowiedziałem, mój współzawodnik o rączkę Maryni. Mówka jego należała do najszczytniejszych, jakie kiedykolwiek słyszałem; wszakże pomimo wielu prośb nie mogłem jęj później do przepisania uzyskać; zazdrość mówcy-poety pozbawiła potomość najpiękniejszej ozdoby literatury pogrzebowej; spałmiałem tylko sam początek, wstęp, i składałem go do skarbnicy ojczystego języka:

„W nieprzejrzanej strzeni czasów stnienie jednego człowieka jest jakoby niedziałką, równającą się stnieniu jętki, a jednak jakże olbrzymią jest jego misya, jeżeli odwiekujemy skrzynię rozmyśłów, które jego zamknia mózgowa samorodnym wyłonieniem po świecie rozprysła!“

„Chłonią się mocarstwa w kończynach swoich, oceany nie przełamiają ziemnych krawędzi, które je manifestowała usamowolniona roda, lecz potęga umu jednego człowieka wszech świat przezwalczyć zdoła, bo w swęj emancypacyi do najoddalęszych krańców bezmiaru opiera się swą jaźnią na kolosalnej woli ducha i silną prawicą samego sięga bóstwa; targa bezwiedne przesady zaszarzonych wieków, łamie zapory bezumu swoją silną wiedzą, kruszy gmachy wyrojonych mami-

deł *mythu* i depce kamienną stopą fascynacye przetętnionych olympiad niewiedzowym usankcyonowane wymysłem. O siło i tego tworzonego ducha! umie jaźni mojęj! oby wypryski twojęj wiedzy rozżarzyły tło w cieśniach piersi zżelazniałych! oby rozplomieniły iskry stnienia mojego, oby wyłoniły śmiałą myślę moję, abym ją rozgłosił na stworze świata i godnie z mojęj dzisiejszjęj wywiązał się misyi!..“

Podkomorzyc zawstydził sowietnika; mówił przynajmniej pół godziny a mówił z takim zapalem, że aż nos jego był w ambarasie o pomoc najrychlejszą. Słuchacze jednozgodnie przyznali mu dnia tego palmę pierwszeństwa.

Tak trzema mowami uczczone na wstępie zwłoki s. p. Bawolskiego w najparadniejszjęj procesyi ruszyły dalej i już wieczorem złożone zostały na katafalku w kościele farnym Kamieńca Podolskiego.

Przez trzy dni odpoczywał s. p. Bawolski w Kamieńcu Podolskim; nabożeństwa żałobne były nieustanne, kazań żałobnych szęść a głosów obywatelskich siedm naliczyłem. Moznaby dwa tomy wydrukować pochwałami, przez te trzy dni wygłoszonemi. Czwartego dnia, to jest 6 grudnia, wyprowadzono starostę z Kamieńca z równą jak przy wprowadzaniu procesją. Siódmego grudnia przyjmowano starostę na granicy niegdys dóbr jego i w tymże samym dniu wprowadzono go do kościoła w Jeżowej-Górze.

Tutaj cały tydzień trwały obrzędy, mów było bez liku; komu się tylko co przysniło, wstępował na katedrę, umyślnie ku temu przyrządzoną. Przy téj nawalnicy rozdrażnionego języka miał miejsce bardzo komiczny przypadek. Jeden z chwalców nieboszczyka — nie pomnę, świecki czy duchowny — rozpoczął rzecz temi słowy:

„Po czternaście lat nieobecności z kądzies to przybył starosto?...“ — Głos mówiącego zatrzymał się po tém zapytaniu; mojemu, codziennie pijanemu Mateuszowi, w owę chwilę stojącemu pod chórem, zdawało się, że należy odpowiedzieć, a więc donośnie zawołał: „Z Ostrzeszowa, panie dobrodzieju! ja go wiozłem, ale mieliśmy turbacyi nie mało, niżeli przyjechaliśmy do Jeżowój-Góry.“ Wszyscy się serdecznie uśmieśli, ale ja rozumiałem, że ze wstydu w ziemię się zagrzebię, bo truteń, wyręczając mowę, zaczął dalej coraz głośniej opowiadać historią moich kłopotów, umartwień i nieszczęść. Z kolatorskiej przy wielkim ołtarzu ławki, w której obok Maryni za duszę nieboszczyka mówiłem pacierze, zanim się przedarłem przez nabity ludźmi kościół, pijanica już do miasta Turka zajechał, gdzie to złodzieje starostę wykradli.

Piętnastego grudnia nakoniec przystąpiono do wstawienia trumny w wydrążony filar kościoła. Dwunastu obywateli zaniósł na swoich barkach zwłoki ś. p. Jana Kazimierza Wojciecha starosty Bawolskiego w miejsce ostatniego

spoczynku; wsuniono trumnę w szczupły otwór; księża odśpiewali *requiem*; mularze już podnieśli kielnie, aby leconém wapnem zamurować skrytkę nieboszczyka; gdy wystąpił zapłakany starzec w podszarzanym kontuszu i ostatni do zmarłego treściwie przemówił:

„Jasnie wielmożny starosto!“

„Towarzysz i trzydziestoletni sługa twój, Józef Dwojno, estymując cię przez całe życie najwierniejszym affektem, przynosi do grobu twójego słowa żałoby osieroconego serca. Jeżeli jest prawdą, o czém nie wątpię, że *Omnipotens Deus* sprawiedliwość po śmierci wymierza, bez zawodnie spotkała cię, panie starosto, nie jedna już na tantym świecie plaga, ale zarazem i nagroda minąć cię nie mogła, bo obok wielu ułomności grzesznego człowieka tę miałeś zasługę, żeś nigdy ubogim nie gardził szlachcicem. Wojciechu starosto! Józef Dwojno śle ci ostatnie pożegnanie; bądź zdrów, do zobaczenia.“ — Otarł łzę i machnął ręką na mularzy, którzy posłuszni skinieniu jęli się do pracy. W godzinę później błyszczały na lewym filarze kościoła w Jeżowój-Górze olejno malowane rysy Jana Kazimierza Wojciecha, trzech inion Bawolskiego, — czarna marmurowa tablica z napisem pochwalnym, — w białym alabastrze wyrznięty herb Bawolskich, — poniżej klepsydra, kosa, łopata, — a u samego dołu popiersie aniołka ze skrzydłami.

Nieutulona w żalu rodzina, grono licznych przyjaciół, księża i domownicy udali się do dworu, aby pochwały nieboszczyka powtórzyć; organista zamknął kościół, i zdawało się, że życzenia starościny w zupełności ziszczone zostały i że prawo moje do odebrania nagrody za tę, familii Bawolskich wyświadczoną przysługę, jest już niezaprzeczane, — czyli, że po przyzwoitym upływie czasu piękną Marynię przed ślubny zawiodę ołtarz. Taką to była moja uzasadniona nadzieja w dniu 15 grudnia i tak też wszyscy sądzili, lecz nie tak było zapisaném w księdze moich przeznaczeń.

W dzień drugi świąt Bożego Narodzenia Balbisia ze swoim mężem oświadczyli mnie staroście o rączkę jej wnuczki z wszystkimi formułkami, to jest: przyjechali po południu; koni wyprzęgać nie dozwolili; przyjechali wystrojeni; rozpoczęli rozmowę o potocznych rzeczach, skierowali ją zwolna do zawieranych w sąsiedztwie małżeństw; rozszerzyli się nad pociechę, gdy się córki (lub wnuczki za swego życia rozporządza; oddali nieskąpe pochwały przymiotom duszy i ciała panny starościanki, nadmienili, że wiek Maryni dozwala babce żądać pociechy; — potem pułkownik otwarcie wymienił moje genealogiczne, osobiste i majątkowe zalety a Balbisia, całując starość w ramię, wyrzekła, że właśnie w tym celu przyjechali, aby mnie oświadczyć o rękę Maryni, i że szczę-

śliwą będzie się mieniła, jeżeli pani starościna prośbie jej brata oie odmówi a projekt, w Białosęku poczęty, spełniony zostanie. Starościna ze łzami oświadczyła, że szczęście Maryni jest jej jedynym w tém życiu celem, że nie przeciwko mnie nie ma, owszem że mi zawdzięcza znamienitą przysługę z tylu kłopotami połączonego sprowadzenia zwłok ś. p. jej męża, i że nawet mi już dała przyrzeczenie ręki Maryni a więc — że ostatnie słowo tylko od Maryni zależy. Przywołano Marynię; zapytana dziewica zarumieniła się, spuściła oczy i całując kolana babki oświadczyła, że szanuje jej wolę i że z wdzięcznością przyjmuje wybór babki. Nastąpiły serdeczne pułkownikowstwa podziękowania; posłano po mnie konnego do Białosęku, a żem już w łasku brzozowym czekał, więc przybyłem niebawem, i znów podziękowania, całunki kolan starościny, rączat Maryni, radość, szczęście, zamiana pierścionków; przyjechali marszałkostwo i pan podkomorzy; wniesiono starego węgrzyna. Marszałek wypił zdrowie zaręczonych w ręce podkomorzego, podkomorzy w ręce pułkownika, pułkownik oddał kielich wracającemu z niesporów proboszczowi, ksiądz proboszcz wychylił z całą szczerością, jam nakoniec życzącym i łaskawym pełnym kielichem podziękował; brakowało tylko obecności Erazma, który w dobrach sobie oddanych, w Grzechotkach, ciężkiej uległ niemocy. Dziewiątego stycznia jako w dzień

SPIS RZECZY

w tomie drugim zawartych.

	stron.
Emancypacja Sabiny. — Komedia w 2ch aktach	7
Weksel. — Trajedyja w V atkach	101
Szkice psychologiczne niektórych ludzi zwierząt	143
Listy Jana Skórczykiewicza	163
Gorzkie wspomnienie słodkiej nadziei	185



SPIS RZECZY

w tomie drugim zawartych

1	Wstęp
2	Wykaz nazw
101	Wykaz nazw w Y. 1. 1. 1.
113	Wykaz nazw w Y. 1. 1. 1.
123	Wykaz nazw w Y. 1. 1. 1.
137	Wykaz nazw w Y. 1. 1. 1.

